# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 41. WARSZAWA, 18 WRZEŚNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.


## O KONIECZNOŚCIACH DZIEJOWYCH

PISZĄC przed paru tygodniami o sprawie naszych granic wschodnich — mieliśmy sposobność rozprawić się przy okazji z atakami polemicznemi prasy konserwatywno-sanacyjnej, usiłującej nasz obóz uczynić odpowiedzialnym za niekorzystne dla Polski ukształtowanie granic wschodnich. Śród głosów, przeciwko którym wypadło nam wówczas wystąpić, był jeden, który zaatakował nie taktykę tylko obozu narodowego w okresie rokowań ryskich, lecz samą, wysuniętą przez obóz narodowy, zasadę zrezygnowania z dalekich peryferyj ziem kresowych i postawienia w rokowaniach pokojowych postulatu rozgraniczenia Polski od Rosji wzdłuż linji, zwanej linją Komitetu Narodowego. Na głos ten odpowiedzieliśmy zwięzłem stwierdzeniem, że jest on wyrazem odmiennego niż nasz patrjotyzm, — patrjotyzmu partykularnie kresowego (ukraińskiego zwłaszcza), przeciwstawnego patrjotyzmowi polskiemu w ścisłem znaczeniu tego słowa (t. j. ogólno-polskiemu), i gotowego najważniejsze nawet cele ogólnopolskie swoim celom partykularnym poświęcać—i że wskutek tego argumenty i oskarżenia, z tamtej strony wysuwane, uważamy za nie miarodajne dla nas, bo wychodzące z innych niż nasze założeń.

Jest to odpowiedź wystarczająca, — i w chłodnej, tylko na przesłankach rozumowych opartej, politycznej dyskusji nic do niej dodać nie można.

Ale przeciwnicy nasi w tym sporze, Polacy z Ukrainy i wogóle z dalekich kresów, nie są obcymi nam ludźmi. Choć inny jest od naszego widnokrąg ich patrjotyzmu, są naszymi rodakami, są krew z krwi i kość z kości synami naszego narodu.

„Serce nasze ściska serdeczny skurcz bólu",— pisał nasz antagonista w „Dniu Polskim". — „Bólu za ludnością polską, za pracą tylu wieków, za dobytkiem materjalnym, tak marnie porzuconym".

Nie dawały nam te słowa spokoju. Niepodobna jest się zadowolić w odpowiedzi na nie samą tylko bezlitosną logiką rozumowania. Aż coś w duszy targa żalem, — chciałoby się zamienić dyskusję na serdeczne i gorące zwierzenia. Rodacy,—zechciejcież nas zrozumieć! Zechciejcie pojąć, że nasze stanowisko nie może być inne, — że żal nasz i gorycz nasza jest ogromna, lecz że tak być musi. Nie zdołamy Was przekonać, nie zdołamy Was dla naszego stanowiska pozyskać, bo czyż można przekonać odmienny patrjotyzm? Ale pragnęlibyśmy choć tyle od Was uzyskać, byście nas tak potrafili zrozumieć — jak my Was rozumiemy.

I dlatego do tej kwestji znowu powracamy.

Ustalmy naprzód przedmiot sporu. Ustalmy, za jakie wyrzeczenia narodowe na wschodzie obóz nasz ponosi odpowiedzialność.

Przypominamy: obóz narodowy dążył do granic na wschodzie znacznie obszerniejszych, niż obecne. Dążeniom do ograniczenia Polski do granic etnograficznych przeciwstawiał się zawsze stanowczo, — trudno chyba o mocniejszą i bardziej nieoportunistyczną deklarację w tym względzie, niż ogłoszone w r. 1903 „Myśli nowoczesnego Polaka" Dmowskiego. Pomawianie obozu narodowego o wyrzekanie się całości kresów wschodnich może wynikać — pomijając złą wolę — tylko z zupełnego nierozumienia podstaw ideologji narodowej. Postulaty terytorjalne polskie na wschodzie, sformułowane przez obóz narodowy, wyrażały się w t. zw. linji Komitetu Narodowego (p. notę delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Paryżu z dnia 3 marca 1919 r., przedrukowaną w „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa" Dmowskiego), — znane były zresztą z publikacyj Popławskiego i Dmowskiego conajmniej na parę dziesiątków lat przedtem. Jeżeli postulaty te nie zostały spełnione — wynika to w niemałej wierze z posunięć polityki, opartej o program federalistyczny, która się z polityką narodową skrzyżowała.

Z czegóż więc na wschodzie myśl polityczna polska, reprezentowana przez obóz narodowy, zre-

zygnowała, nie z zewnętrznych przyczyn, lecz z samodzielnego przekonania. Zrezygnowała z Kijowa, z Żytomierza, z Berdyczowa, z Humania na południu, oraz z Mohylowa, Witebska i Rzeżycy—na północy.

Dlaczego? — Dlatego, że postulatem jej było stworzenie silnej, niepodległej Polski. A stworzenie silnej, niepodległej Polski wymagało: po pierwsze zjednoczenia w jej granicach wszystkich ziem, należących do jej obszaru narodowego, to znaczy posiadających wyraźnie polskie oblicze kulturalne i polityczne, — powtóre (rzecz bodaj jeszcze ważniejsza), nadania jej ukształtowaniu terytorjalnemu takich cech, by tworzyła ona geopolitycznie zwartą, organiczną całość. Żadne państwo nie może się rozlewać jak plama atramentu,—musi mieć granice, oparte o logikę geografji. Wiemy dobrze, ile wysiłków wkładały inne narody w urzeczywistnienie postulatu granic naturalnych. Dla nas na wschodzie ideał granicy naturalnej jest nieosiągalny, — osiągalne jest jednak zredukowanie ujemnych skutków granicy, wytkniętej dowolnie, do możliwego *minimum*. Włączenie do Polski prawobrzeża Dnieprowego jest geograficznem niepodobieństwem bez równoczesnej aneksji jeszcze dalszych, ogromnych obszarów, tworzących z tem prawobrzeżem geopolityczną całość. Granica z r. 1772 na wschodzie jest granicą przypadkową i chwilową,—jako trwała rubież geograficzna jest nie do pomyślenia. Ekspansja Jagiellońska na wschód nie była dziełem polityki polskiej,—była owocem litewskiej polityki zbierania ziem ruskich, polityka ta załamała się,—była zresztą świadomie hamowana przez politykę polską, która w tej ekspansji wschodniej pierwotnie w najmniejszej mierze nie była zainteresowana [1]) Granica z r. 1772 była tylko chwilowym etapem, utrzymującym się tak długo, jak długo Moskwa nie nabrała sił dostatecznych do tego, by sobie dostęp do morza Czerwonego i końcowe zaokrąglenie granic wywalczyć. Granica z r. 1772, lub do niej zbliżona, nie rozdziela w sposób naturalny obszarów geograficznie wyodrębnionych, lecz naturalne całości (przedewszystkiem Ukrainę, włącznie z pobrzeżem Czarnomorskiem) arbitralnie rozcina. Granica ta—odźwierciadlająca przelotną chwilę dziejową, gdy Polska przeżyła już klęskę wojen kozackich, lecz jeszcze nie przeżyła klęski rozbiorów — byłaby, gdybyśmy ją chcieli przywrócić, jedynie źródłem nowych, nieustannych konfliktów, byłaby przyczyną nieustannej walki polsko-rosyjskiej, powodowanej tem, że Rosja bez tych ziem żyć nie może, a więc musiałaby wciąż o nie walkę wszczynać. Byłaby przez to nieuchronnie pchana do sojuszu z Niemcami — i do zaczepnej wobec nas polityki,—takiej, jak w wieku XVIII-tym i jak w sierpniu r. 1920. A my — bylibyśmy nieuchronnie pchani do nowych podbojów na wschodzie, któreby posiadanie przez nas prawobrzeża dnieprowego miały zabezpieczać i zaczepność rosyjską paraliżować, ale które równocześnie beznadziejnie odsłaniałyby nas wobec naporu niemieckiego.

Nie potrzeba się zresztą długo nad tą stroną zagadnienia zastanawiać, bo jest ona zupełnie jasna dla wszystkich: niema i nie było w Polsce jako tako myślącego człowieka, któremuby nie było wiadome, że o ile granica dzisiejsza (i bądź co bądź niewiele od niej różna linja Komitetu Narodowego) jest rubieżą geograficznie możliwą i z samej swej natury żadnych konfliktów nie rodzącą— o tyle posunięcie granic Polski aż po Dniepr jest geograficznym absurdem. To też projekt aneksji Ukrainy przez Polskę nie był w o g ó l e z żadnej strony wysuwany, a Wy—Rodacy z Ukrainy—myśleliście co najwyżej tylko o chwilowej, przelotnej ingerencji wojsk polskich w sprawy ukraińskie oraz o budowie s a m o d z i e l n e g o państwa ukraińskiego (ewentualnie związanego z Polską jakimś sojuszem), co — zechciejcie przyznać — jest zupełnie innem zagadnieniem od budowania silnej, niepodległej Polski.

Tak się rzecz przedstawia od strony geopolitycznej. A od strony postulatu zjednoczenia w granicach Rzplitej wszystkich ziem, mających polskie oblicze polityczne i kulturalne? Ekspansja polska na wschód, zarówno jak objęcie przez Polskę sukcesji ekspansji litewskiej, powiększyło obszar narodowy polski w sposób niezaprzeczalny. Nikt nie może kwestjonować tego, że Wilno jest nawskroś polskie lub że temu lat jeszcze dwanaście nawskroś polski był Dyneburg i Kamieniec. Ale Ukraina, ale Kijów?

Nikt nie nazwie Kijowa miastem polskiem, ani Ukrainy krajem polskim. Była tam rozsiana ludność polska, były silne polskie wpływy kulturalne, był duży polski stan posiadania gospodarczy, były polskie tradycje historyczne, były nawet pewne zakątki, gdzie polskość kulturalnie i politycznie dominowała — kraj jednak jako całość bynajmniej polski nie był.

Co tu mówić! Porównajmy Kijów choćby ze Lwowem i Wilnem, — przecież doprawdy to są rzeczy z polskiego punktu widzenia niewspółmierne.[2]) Ostatecznie ludność polska żyje i za Dnieprem: przesączyła się tam z Prawobrzeża już oddawna. Jest tam i pewien stan posiadania gospodarczy. Są tam i tradycje historyczne, — wszak Jeremi Wiśniowiecki był w Łubniach (nawiasem mówiąc — Kijów też w r. 1772 do Polski nie należał). Co się zaś tyczy naszych wpływów kulturalnych — to sięgają one wszędzie, gdzie tylko żyje lud małoruski: aż na Kubań, aż na Zielony Klin u granic Korei, — bo wszędzie tam mowa tego ludu wykazuje polonizmy, nieomylną oznakę naszego na nią oddziaływania. — To nie są tytuły do uważania kraju za część Polski. Zrzeczenie się przez nas Ukrainy nie było oddaniem części naszej ojczyzny, — było tylko zrezygnowaniem z terenu objętego zewnętrznie, — z terenu nie uwieńczonej pełnem powodzeniem ekspansji.

Tu leży sedno rzeczy: Ukraina była dla Polski jedynie terenem zewnętrznej ekspansji, — była kolonją. Tem się tłumaczy oderwanie części ludności polskiej na Ukrainie od piastowych dziedzin, — przytępienie jej wrażliwości na sprawy Śląska, Pomorza, nawet Wielkopolski. To była psychika kolonjalna, — to byli polscy Kreole, którzy żyją swojem własnem życiem, mają swoje własne sprawy i którzy

[1]) Warto przeczytać książkę prof. Fel. Konecznego „Litwa a Moskwa w latach 1449—1492“ (Wilno 1929), by zapoznać się z energją tej hamującej wschodnie ambicje litewskie polityki polskiej, która za Kazimierza Jagiellończyka potrafiła np. przeszkodzić połączeniu Nowogrodu z Litwą.

[2]) Jako porównanie Kijowa ze Lwowem i Wilnem zaleca się przeczytać Stanisława Tarnowskiego „Z Wakacyj“ (1888). Trudno o lepsze od tej książki, choć może niekoniecznie zamierzone przez autora, uwypuklenie tego faktu, że Wilno i Lwów należą do polskiego obszaru narodowego, a Kijów — nie.

sprawy Macierzy widzą we mgle oddalenia. Ich obchodziło przedewszystkiem to, aby polskość na Ukrainie, aby dorobek kulturalny polski na Ukrainie nie przepadł,— o to tylko walczyli i nad tem pracowali. Nie zawahali się być inspiratorami wyprawy kijowskiej, dla której zrobiono podarunek Petlurze z Kamieńca, dla której narażono na szwank sprawy Gdańska, Cieszyna, Warmji i Mazur i z którą się wiąże — w imię doktryny federalistycznej — utrata Dyneburga i Kowna. Nie zawahaliby się poprzeć powstania niepodległej Ukrainy, w której sami czuliby się lepiej, niż w Rosji jednolitej (bolszewickiej czy carskiej) — mimo, że naraziłoby to na szwank dobro Polski, bo zagroziłoby polskości Lwowa, oraz przysporzyłoby w sposób wręcz nieuchronny i całkiem niezależny od ewentualnej propolskiej (proziemiańskiej) polityki wewnętrznej tej Ukrainy—sojusznika Niemcom, a śmiertelnego wroga Polsce. Bo nie chodzi im o Polskę, lecz o polskość na Ukrainie. Patrjotyzm ich nie jest ogólnopolski, lecz partykularny.

Gorzej. — Czasem bywa nawet nie partykularyzm polski, lecz zgoła nie polski. Wielu Polaków na Ukrainie — to są nie Polacy, lecz Ukraińcy o polskiej kulturze i o polskim języku ojczystym. Ich ojczyzną nie polskość ukraińska, lecz Ukraina jako taka. Tak samo, jak ojczyzną, jak przedmiotem patrjotyzmu Szwedów z Helsingforsu czy z Abo nie jest Szwecja, ani nawet szwedczyzna finlandzka, lecz — Finlandja, pojmowana jako organiczna całość. Ojczyzną Portugalczyków z Indyj są — Indje. Ojczyzną Francuzów z Nowego Orleanu jest — Ameryka.

Oto gdzie leży różnica między nami. Wy nas nie możecie zrozumieć, Wy ciskacie na nas gromy potępienia, bośmy Waszej ojczyźnie odmówili pomocy. Odmówiliśmy jej, bośmy jej udzielić nie mogli. Bo dobro naszej ojczyzny na to nam nie pozwalało. Ale my Was, naszych młodszych braci, rozumiemy — i nad tym splotem wydarzeń dziejowych, który waszą obecną ciężką dolę spowodował, a który tem samem pozbawił nasz naród owoców wielowiekowej, pełnej wysiłków ekspansji, szczerze ubolewamy. Nie przez współczucie dla Was tylko: przez poczucie straty, którą poniósł naród. Cóż kiedy — prócz żalu — nic Wam dać nie jesteśmy w możności.

Chyba tylko jedno jeszcze: pociechę rezygnacji. Jesteśmy starsi od Was, — żyjemy jako skrystalizowana społeczność lat tysiąc, podczas gdy Wasza społeczność wychodźcza żyje tylko kilka stuleci. Przypomnimy Wam inną, znacznie większą klęskę, którą naród nasz ongiś przeżył. Nie straciliśmy wówczas zewnętrznego tylko terenu ekspansji, — straciliśmy dzielnicę z samych trzewi narodu, prapolską, piastową, jedną z kolebek naszej odrębności narodowej, naszej cywilizacji, naszego życia państwowego. Było to tak, jakby Francja straciła Ile de France, jakby Włochy straciły Toskanję, jakby Hiszpanja straciła Kastylję. Podobnej klęski nie przeżył bodaj żaden europejski naród.

Tą utraconą dzielnicą, tą raną, nigdy nie zabliźnioną jest — Wrocławski Śląsk.

Gorzka to rzecz — doczekać się załamania kilkuwiekowej ekspansji i z kontyunowania tej ekspansji być zmuszonym zrezygnować. Ale rzecz to znacznie mniej gorzka, niż opłakiwać dzielnicę, wydartą z samego ciała Macierzy.

Takie rezygnacje z terenów zewnętrznej tylko ekspansji przeżyło już wiele, wiele z pomiędzy narodów. Smutna to pociecha — lecz znaczne uspokojenie rozsądku.

Przypomnijmy sobie Węgry, sięgające jeszcze nie tak dawno od Tatr i Siedmiogrodu po Adrjatyk i bodaj już nazawsze do ciasnych swych obecnych granic zepchnięte! Przypomnijmy sobie Szwecję,—ongiś władczynię Bałtyku, Finlandji, Estonji Inflant, części Pomeranji! Przypomnijmy sobie Portugalję,—panią szlaku Vasco de Gamy, — przed zgórą czterema wiekami ufundowane portugalskie imperjum Oceanu Indyjskiego, którego tak nędzne szczątki przetrwały po dziś dzień w Mozambiku w Macao i w Goa. Przypomnijmy sobie wreszcie Francję, której zgórą trzywiekowa ekspansja za Ocean poszła zupełnie na marne [3]).

Zginęła kolonjalna polskość na Ukrainie, tak jak zginęła francuska Luizjana i portugalskie Indje. Trzeba się z tem, niestety, pogodzić. A Wy, Rodacy, którzyście z ziemi ukraińskiej uszli z życiem, zapomnijcie o tem, o czem los zapomnieć każe — i uczyńcie to, co jedyne Wam do zrobienia zostało: przekreślcie Waszą przeszłość i wróćcie duchem, tak jak wróciliście już ciałem — do starej Macierzy, która Was z otwartemi ramionami po kilkuwiekowej Waszej wędrówce przyjmuje.

WIEL.

---

[3]) Warto tę klęskę ekspansji francuskiej przypomnieć nieco obszerniej. Objęła ta ekspansja (jeśli nie liczyć Gujany i Małych Antylów) cztery obszerne tereny: Akadję (dzisiejsze nadmorskie prowincje Kanady). Kanadę właściwą (dorzecze rzeki św. Wawrzyńca), Saint Domingue (na wyspie Haiti) i Luizjanę (dorzecze Missisipi). Akadję założyła Francja w roku 1604. W pokoju Utrechtskim 1713 r. musiała ją odstąpić Anglji, która—wobec rozkwitu tam francuszczyzny—francuską ludność w r. 1755 brutalnie stamtąd wygnała — co jest jednem z nielicznych wydarzeń tego typu i tego stopnia tragiczności w dziejach ludzkości. Resztki ludności franko-akadyjskiej schroniły się po lasach i z czasem znów się nieco rozmnożyły, tak, że dzisiaj jest ich tam około 200.000 na około miljon mieszkańców. Kanadę właściwą zaczęli Francuzi kolonizować w roku 1603. W roku 1763 Francja odstąpiła ją Anglji, zupełnie w ciągu dziejów następnych o niej nie pamiętając. Mimo to Kanada właściwa (dorzecze św. Warzyńca) pozostała po dziś dzień krajem francuskim: „*Eh bien! nous resterons Français malgré la France*“, powiedział franko-kanadyjski poeta Frechette. Francuzów w całem dominjum kanadyjskiem jest dziś $2^1/_2$ miljona (wobec $3^1/_2$ milj. Anglosasów, 1 milj. Irlandczyków i $1^1/_2$ milj. innych). Na Saint-Domingue Francuzi zaczęli się osiedlać około roku 1630, — z czasem ziemia ta stała się kwitnącą francuską kolonją i źródłem wielkich bogactw dla Macierzy. W czasie jednak rewolucji francuskiej tamtejsi niewolnicy murzyńscy ludność francuską wyrżnęli i wywalczyli sobie niepodległość. Luizjanę odkryli Francuzi w r. 1682 i w szybkim czasie skolonizowali. Utracili ją na rzecz Hiszpanji w r. 1763, odzyskali w r. 1800, odstąpili Stanom Zjednoczonym w r. 1804. Aż do ostatnich czasów Luizjana zachowywała oblicze francuskie. Mimo ruiny gospodarczej i politycznej, jaką dla luizjańskich plantatorów spowodowała amerykańska wojna secesyjna, świat tych plantatorów — pod tylu względami przypominający nasze ziemiaństwo ukraińskie — zachowywał właściwości wyrafinowanej i wytwornej kultury francuskiej. A jednak — przyszło w końcu wynarodowienie. Jeszcze w r. 1900 pisze Victor Tautet („*Survivance de l'esprit français aux colonies perdues*“) o intensywnem życiu francuskiem w Luizjanie, o dwuch dziennikach francuskich w Nowym Orleanie, o bogatej literaturze lokalnej, skupionej dokoła miejscowej akademji: „*Athénée Louisianais*“, o języku narodowym francuskim, dopiero w roku 1898 z równorzędnego z angielszczyzną użycia skreślonym. F. L. Schoell („*U. S. A. du coté des blancs et du coté des noirs*“) pisze w r. 1929, że — „*Ateneum*“ utraciło charakter instytucji narodowo-francuskiej (należą do niego żydzi i Yankesi), że nie wychodzi tam już żadne, najmniejsze nawet pismo francuskie, że teatr francuski spalił się i nie został odbudowany i że zapewne niedługo nie będzie już Francuzów w Luizjanie. Z imperjum francuskiego w Ameryce, sięgającego od ujścia rzeki św. Wawrzyńca po ujście Missisipi i po Antyle zostały — strzępy.

# GENJUSZ OSZUSTWA

Osławiony „naród wybrany“ powinien, właściwie, nazywać się narodem przebranym, jeżeli bowiem zaczniemy doszukiwać się, jaki możnaby żydostwu przyznać genjusz narodowy, okaże się wkońcu, że jedynie i wyłącznie — genjusz oszustwa. Do wniosku tego dochodzi każdy zpośród narodów rasy białej badacz ducha i historji żydów, a pozostaje on w zgodzie z utrwalonym od wieków poglądem ludu: w każdym przez żydów nawiedzonym narodzie ustaliło się słowo „żyd“, jako synonim oszusta. Żydzi jednak utrzymują, że zarówno mędrcy i historycy, jak ludy kuli ziemskiej, słowem — że cały świat popełnia oszczercze oszustwo, gdy żydów oszustami nazywa. Oto ostatnie, najwyższe *salto mortale*, jakie na trampolinie „golusu“ wykonywa obecnie żydowski genjusz oszustwa.

Intuicja ludów i wiedza mędrców są małomówne, wyrażają się lapidarnie i niezawsze dbają o zawarowanie poglądu swego przez oświetlenie przyczyn danego zjawiska. I tu ograniczono się do stwierdzenia faktu, opierając się, zresztą, na tak obfitym materjale doświadczeń, że dochodzenie przyczyn można było uznawać za przedmiot ciekawości psychologów, mający swoją wartość czysto naukową, ale dla wiedzy praktycznej niemal zbyteczną, czyli — zbytkowną. Żyjemy atoli w wieku nauk ścisłych, a ich metody obowiązują i w pozostałych wiedzy dziedzinach. Sprawa oszustwa, jako narodowej cechy żydostwa, należy do psychologji zbiorowisk ludzkich, a orzeczenie jej nie może być i dla życiowych względów obojętne. Uczyńmy zatem próbę odnalezienia rodowodu tej narodowej odrębności żydowskiej.

Jako atrybut duszy żydowskiej, oszustwo musi mieć w niej przyczyny organiczne. Warunki społeczne i historyczne nie mogą przeorać duszy narodu aż do jej dna. Musiały tu być czynne siły biologiczne, których zespołom przypisujemy odrębności gatunków i ras. W narodzie żydowskim tkwi taki zespół cech umysłu i charakteru, a jego dominantę stanowi to, co nazwać można mózgowością w przeciwstawieniu do intuicyjności innych narodów. Z mózgowości, która w żydach objawiła się nagminnie i w przeroście wręcz patologicznym, bezpośrednio wynika, między innemi, cecha organicznego, nieuleczalnego oszustwa. Zabarwienie przeto moralne, które towarzyszy ocenie tej narodowej cechy żydowskiej, jakkolwiek zewszechmiar słuszne, jest wtórne. Zasadniczo mamy tu do czynienia z objektywnem zjawiskiem psychologicznem rasowego oszustwa wrodzonego.

Łącznikiem pomiędzy umysłem człowieka (mózgiem) a światem zewnętrznym (do którego zaliczyć trzeba i ciało ludzkie w jego fizyczności) jest intuicja. Ona jedynie jest siłą poznawczą, ona porządkuje materjał zjawisk dostarczany przez zmysły, ona jest podstawowym sprawdzianem prawdy i nieprawdy. Intuicją człowiek mierzy odległości przestrzeni i czasu, szybkości ruchu, ciężary przedmiotów, wytrzymałości wątków, siłę uderzeń, siłę utajoną, rytmy, kierunki oraz — rozpoznaje nieprzeliczone mnóstwo właściwości przedmiotów, istot i zjawisk. Intuicja podaje świat rozpoznany umysłowi do dalszych rozważań, ale i tu czuwa nad jego czynnościami. Bez intuicji umysł staje wobec zwichrzonego chaosu wrażeń zmysłowych i nie ma możności zaprowadzenia w nim jakiegokolwiek ładu, ani właściwego ustosunkowania człowieka do świata zewnętrznego. Taki właśnie typ ludzki, obdarzony umysłem, ale pozbawiony intuicji nazywam mózgowcem, a jego kalectwo (bo to jest kalectwo) — mózgowością. Kalectwem tem od zarania swoich dziejów dotknięty jest cały naród żydowski.

Z powodu swej mózgowości żyd oddzielony jest od świata zewnętrznego jakby grubą, przezroczystą płytą szklaną (brakiem intuicji), a wskroś tej płyty przedostaje się do niego tylko objektywna powierzchnia zjawisk — tak zupełnie, jak do kamery fotograficznej, fonografu, termometru i tym podobnych przyrządów, Cała wewnętrzna treść zjawisk, razem z ich wzajemną współzależnością, oraz wszystkie wartości zjawisk, oceniane przez intuicję, to, słowem, co nazwać można duszą świata, dla żyda pozostaje nieodczuwalne, a więc — nieistniejące. Stąd bezpośrednio wynikają główne cechy umysłu i charakteru żydowskiego, które tu pokrótce omówimy.

Intuicja stanowi podstawowy warunek twórczości. Jako typ pozbawiony intuicji żyd jest człowiekiem zasadniczo nietwórczym. Historja w całej rozciągłości orzeczenie to potwierdza. Cokolwiek żyd posiada, cokolwiek czyni, z czemkolwiek się obnosi, to wziął od innych i naśladuje mechanicznie, a jeśli sam co dorzuci, to rzecz psuje i zniekształca, a zawsze wykonywa ją bylejak i powierzchu. Tandeta jest znaną narodową cechą roboty żydowskiej.

Jako typ zasadniczo i nieuleczalnie z twórczości wyzuty, żyd, pozostawiony sam na sam z przyrodą, ginie. Może utrzymać się tylko z pracy innych narodów — i to go czyni urodzonym pasorzytem. Naród-pasorzyt nie zdoła utrzymać się w całej swojej liczebności na ciele jednego tylko narodu obcego. Dla utrzymania narodu pasorzytniczego potrzeba dużej ilości narodów obcych. Oto przyczyna dostateczna, dla której żydzi sami dobrowolnie po całym świecie się rozproszyli. Instynkt rozpraszania się i emigracji posiada, jak wiadomo, pluskwa domowa — ten najdoskonalszy na świecie pasorzyt, krwią ludzką żyjący. Powtórzeniem pluskwy w kształcie ludzkim jest naród żydowski.

Posiadając umysł niekontrolowany przez intuicję, a przez to — bezczelny, i widząc, że udaje się im obsiadać narody obce i na nich pasorzytować, żydzi prędko doszli do wniosku, że są panami ludów. A że tych ludów nie rozumieli, więc uznali je za bydło. Tą drogą objawiła się znana powszechnie megalomanja żydów, podsycana wciąż i rozdrażniana przez stałe ich niepowodzenia. Tak rósł fantastyczny, naprzód religijny, a wkońcu polityczny imperjalizm żydowski, wiecznie wygłodzony, a więc wściekły i zaciekły, majakami karmiony, zawsze urażony, zły i mściwy — zaiste, oryginalny imperjalizm wypędzanego zewsząd pasorzyta.

Przyroda i świat ludzki, tak dalece nierozumiane, stały się w oczach żydów do gruntu obce im i wrogie. Na pasorzyta, żyjącego z wyzysku, zewsząd czyhają niebezpieczeństwa, których on nie rozumie. Bezpośrednia obecność przyrody gubi go z powodu jego bezradności. Bezpośrednia obecność narodów, do których wnętrza się wpy-

cha, gubi go również z powodu jego napastliwości i złośliwego wyzyskiwania ich pracy. Bał się tak samo przyrody, jak narodów, stał się wzorem i synonimem wszechstronnego tchórzostwa, a jednocześnie znienawidził świat cały — przyrodę, rośliny, zwierzęta i ludzi — zjadliwą nienawiścią okaleczonego potwornie pasorzyta.

W takiem położeniu siłą rzeczy zjawić się musiała wśród żydów własna ich, rodzima ideologja religijna, polegająca na bardzo prostem przeciwstawieniu zła i dobra: świat jest wcieleniem zła, żyd jest wcieleniem dobra, świat jest odtrącony, naród żydowski — wybrany, świat jest upadkiem, żyd — zbawieniem, świat jest grzeszny, naród żydowski — święty. Gdy umysł żydowski, z posad intuicji wytrącony, znalazł się raz na drodze tych przeciwstawień, znikły już wszelkie granice dla jego egzaltacji, fanatyzmu i nienawiści. Pogarda i wstręt do całego świata zapanowały w duszy żydowskiej niepodzielnie i bezgranicznie. Wyrazem tych uczuć są księgi żydowskie — Tora, Talmud i Szulchan-Aruch, oraz nowsze wynurzenia ducha żydów i ich polityki aż do słynnego dzieła Aszera Ginsberga. Dziełom towarzyszą czyny tajemne, które raz po raz świat demaskuje, — skrytobójstwa, zbrodnie polityczne, rewolucje.

Bezintuicyjny, swoiście ślepy umysł żydowski poza powierzchnią zjawisk nie widzi nic oprócz bezdusznej materji. Bóg żydowski — to bóg transcendentny. Przebywa on, równie jak umysł żydowski, poza światem, jest, właściwie, bogiem plemiennym i politycznym, rodzajem symbolu żydostwa, a zarazem jego bankierem, z którym żydzi ciągle się procesują, zawierają i zrywają umowy, dyskontują weksle jego, fałszują jego podpisy i natarczywie go w szabasy oblegają. Pozatem jest tylko gruba, ciemna, martwa materja, nazywana światem, a należy do niej, z niej jest ukształtowana cała oprócz „narodu wybranego“ ludzkość, na kuli ziemskiej przebywająca. Z materją można pozwalać sobie na wszystko, w czem żydzi doszli do cynizmu ostatecznego. Z drugiej strony we własnem życiu wewnętrznem szczęście swoje i cel żydzi umieścili wyłącznie w dobrach materjalnych, w czem do potworności schamieli.

Cechy, warunki i okoliczności powyżej wskazane składają się w żydach na jedno jeszcze znamię rodowe — na okrucieństwo. Tchórzliwy, złośliwy i wieczną zemstą pałający żyd pełen jest okrucieństwa, o którego rozmiarach człowiek najniższych stopni dzikości słabe tylko może dać pojęcie. Żadne siły wewnętrzne, żadne względy duchowe nie stawiają żydowi przeszkód w jego wrodzonem, zajadłem okrucieństwie rasowem. Obcy i wrogi wszystkiemu i wszystkim, organicznie pozbawiony współczucia, które jest wyrazem intuicji, oraz sumienia, które jest jej wykładnikiem moralnym, żyd z rozkoszą pławi się we krwi istot, w ich męczarniach i rozpaczy. Tylko jego niezmierzone tchórzostwo, oraz warunki zewnętrzne stawiają tamy dla całkowitych tego okrucieństwa objawień. Lecz jednocześnie w ukryciu i piwnicznych jego duszy ciemnościach okrucieństwo jego tembardziej pleni się i tem zjadliwsze właściwości przybiera,

W granicach czysto umysłowych czynności — rozumowań i rozważań — umysł żydowski puszczony (z braku intuicji) samopas nie zna zgodności lub niezgodności słów z idejami, a idej — z rzeczami. Słowa żyda są puste, dwu- i dziesięcioznaczne, ogólnikowe i zawiłe, jak, właśnie, wersety jego Talmudu. W pustej jego retoryce i sofistyce jeden tylko przedmiot realny czuwa bezsennie: materjalne dobro żydostwa. Prawda i nieprawda w znaczeniu możliwie objektywnem nie istnieją dla żyda. Jeżeli dana (przypuśćmy) teorja wczoraj zapowiadała korzyści dla żydów, a dzisiaj zapowiada szkody, to wczoraj była prawdziwa, a dzisiaj jest fałszywa. Oto wszystko. Umysł żydowski, zaprawiony w sofistyce talmudycznej, z równą łatwością i wielosłownością bronić może tego, co przed chwilą zwalczał, albo odwrotnie, a to zależnie od interesu materjalnego — osobistego lub narodowego. Wszystko dla niego jest względne, jeden tylko we wszechstworzeniu — żyd jest bezwzględny.

Łatwo pojąć, że tego rodzaju umysł jest jakby stworzony do rachunków matematycznych. Żydzi znani są ze swoich zdolności w tej dziedzinie, ale i tu nigdy do twórczości nie dochodzą. Pozostają oni w granicach rachunkowości, czyli tam, gdzie matematyce jest wszystko jedno, czy ziemia obraca się dokoła słońca, czy słońce — dokoła ziemi. Tak pojęta matematyka jest samoistną budową umysłu ludzkiego, na własnych fundamentach opartą, od świata i jego zjawisk niezależną. Tu umysł żydowski czuje się swobodnie. Ale... rzecz wysoce znamienna: i tu twórczość żydowska jest nieobecna. Nie żydzi stworzyli zręby i strzeliste wieże matematyki czystej. Oni tylko w gotowym gmachu szybko i sprytnie się obracają. Te swoje zdolności rachunkowe wnoszą żydzi również do muzyki, która, jak wiadomo, sporo ma w sobie pierwiastków matematycznych. Ale i w muzyce, jak wszędzie, poza jej powierzchnią rachunkową, żydzi nie odczuwają nic — żadnych uczuć, żadnych obrazów, żadnych zdarzeń, przedmiotów, myśli, nastawień wzruszeniowych, słowem nic poza mechaniką kompozycji i techniką wykonania.

Brak kontroli ze strony intuicji, która jest nieobecna, oraz doskonała obojętność na prawdę lub nieprawdę stwarza w umyśle i charakterze żyda znaną swoistą jego cechę — bezgraniczną bezczelność. W życiu doraźnem, tymczasowem, koczowniczem, a takiem wyłącznie jest życie żydowskie, pośród ciemnych tłumów ludzkich, na których żyd pasorzytuje, w atmosferze tolerancji wyższych warstw wielu narodów, bezczelność wielkie żydom oddaje usługi. W szczególności ludzie rasy białej, jako szlachetniejszej i wyższej, skłonni są do wiary i ufności w szlachetność natury każdego spotkanego człowieka, a więc i żyda. Tę skłonność żydzi znakomicie wyzyskują, a to przy pomocy wszelkich sztuczek swojego aktorstwa, które z całą bezczelnością stosują. Wywołuje to pozory siły suggestyjnej, którą się czasem żydom przypisuje. W samej rzeczy jest to tylko bezgraniczna bezczelność, trzeba jednak przyznać, że suggestja w znacznej mierze polega na sile, którą z moralnego punktu widzenia można z bezczelnością utożsamić.

Cechy naszkicowane powyżej stanowią niezupełne jeszcze, ale wystarczające tło do uwydatnienia i objaśnienia oszustwa żydowskiego, które jako temat szkicu założyłem. Jak wszystkie swoiste cechy żyda, tak i oszustwo jego wynika bezpośrednio z mózgowości. Pozbawiony intuicji żyd powierza się umysłowi swojemu, ten zaś w chaosie zjawisk, nie posiadając sprawdzianu ich wartości i współzależności, układa je dowolnie według przypadkowego związku zdarzeń, a nawet słów. Stąd pochodzi czczość i śmieszność dociekań talmudycznych. Stąd cała retoryka, sofistyka i adwokackość umysłu żydowskiego. Stąd nieobecność żydów w twórczo-

ści filozoficznej i artystycznej, naukowej i technicznej, co żydzi usiłują zamaskować krzykliwem reklamowaniem tych i owych nazwisk. Umysł tak dalece dowolny i pusty musiałby zejść wręcz na bezdroża samobójczego obłędu, gdyby nie jedno koryto, ujmujące stale umysłowość żydowską w jeden nurt o jednym określonym kierunku praktycznym, — gdyby nie instynkt gatunku, samozachowawczy instynkt trwania i przetrwania rasy, narodu.

Tu otwiera się przed nami ogromna perspektywa oszustwa żydowskiego. Wszystko, dosłownie wszystko — od pyłu ziemi do pyłu kosmicznego o tyle tylko ma sens, o ile służy dobrobytowi „narodu wybranego". Sofistyka żydowska nagina wszystko do tego celu jednego, czego skutkiem jest, rzecz prosta, fałszowanie wszystkiego i oszukiwanie wszystkich we wszystkiem. Jeżeli genjalność jest taką jednostronnością, że wkracza w dziedzinę obłędu, to żyd w oszustwie swojem jest genjuszem genjalności, nieznającej żadnych granic logicznych, rzeczowych i moralnych. Tylko świat zewnętrzny, tylko inni ludzie, inne narody mogą w tem żydostwu stawiać tamy dorzeczności, a wtedy żyd czuje się pokrzywdzonym i opór świata nazywa antysemityzmem. Zaprawdę, dla żyda i słońce jest antysemitą, skoro raz tylko jak to zdarzyło się z Jozuem, słucha rozkazu żydowskiego! Oszustwo jednak żydowskie, jakkolwiek bezgraniczne, nie miałoby tylu i tak ostrych kantów i kolców, które posiada, gdyby nie szereg innych cech, powyżej omówionych a z tego samego gniazda—z mózgowości powstałych. Zdajmy sobie sprawę ze stosunku tych cech do oszustwa żydowskiego:

1. Naród zgruntu nietwórczy i pasorzytniczy ma do wyboru — albo zgon albo oszustwo. To zrozumiałe, bo nikt dobrowolnie pasorzyta na sobie nie hoduje. Oszustwo jest dla żyda w walce o byt bronią nieodzowną. 2. Megalomanja i imperjalizm, opromienione odpowiednią religją, dają oszustwu żydowskiemu pewną dla samych żydów treść niemal metafizyczną, rodzaj świętości celu. 3. Obcość i wrogość przyrody i ludzkości (wywołana obcością i wrogością żydostwa) także uświęcają środek oszustwa, a nadto pobudzają je do najwyższej wynalazczości. 4. Nienawiść do świata jest dla oszustwa ogniem natchnienia, a dla tchórzostwa oszustwo stanowi jedyny dostępny dlań rodzaj odwagi. 5. W śmiertelnej wojnie pomiędzy Dobrem a Złem, kiedy Dobrem jest żyd, a Złem — reszta stworzenia, oszustwo, jako jedyna broń cnoty i świętości, samo staje się dla oszusta cnotliwe i święte. 6. Wstręt i pogarda dla „bydła ludzkiego" zewszechmiar upoważnia żydów do stosowania względem ludzi każdego oszustwa. Alboż człowiek nie oszukuje zwierząt, któremi się posługuje? 7. Materjalizm i cynizm żyda nie posiadają węchu moralnego. Oszustwo jemu *non olet*, byle dawało korzyści. 8. Okrucieństwo żyda, jego rytualny, rzezacki zmysł krwawego oprawcy i hycla smakuje sobie w oszustwie, jak w najwytworniejszej, anielskiej potrawie jarskiej. 9. Oszustwo, jako żydowska *commedia dell'arte*, nie mogłoby ani kroku na scenie świata postawić bez bezczelności. 10. Matematyczność umysłu żydowskiego odnajduje w oszustwie coś w rodzaju szachów o kolosalnych rozmiarach: gra niezwykle ciekawa i pochłaniająca. Żydzi, jak wiadomo, znakomitymi są szachistami.

Wniosek z rozważań tych ostateczny nie oskarża żydów, jak nie oskarża zoolog grzechotnika o noszenie jadu w zębach, ale poprostu stwierdza w żydach rasowe i narodowe oszustwo wrodzone, wskazuje na jego przyczynę, na jego siłę i jadowitość. Kto to rozumie, a chce żyć, niechaj się grzechotnika wystrzega, a kto bez rozumu i woli, ten zginie. Takie jest prawo przyrody.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

# „FARYS" MICKIEWICZA

(Dokończenie)

## IV

WIDZIELIŚMY, że pierwszym warunkiem poezyi jest jasny i energiczny język, którym poeta opisuje cechy przedmiotów i ułatwia czytelnikowi ich pojęcie. Następny jednak przykład okaże, że warunki te nie wystarczają:

„Pytał się żyd chłopaka:
— Dlaczego wrona kraka?
On mu na to odpowie:
— Bo ma rogi na głowie.
Z tego się morał wywodzi,
Że jabłonka gruszki rodzi."

Język tego utworu jest jędrny i jasny: są nawet w nim rymy i miara, a mimo to utwór jest potworną niedorzecznością. Dlaczego? Bo posiada on dwie zasadnicze wady. Naprzód mieści w sobie „realne fałsze", jak: gruszka na jabłoni i róg na głowie wrony; powtóre, nie jest on „organiczną całością", gdyż odpowiedź chłopaka nie ma związku z pytaniem żyda, a sens moralny bynajmniej nie wpływa z faktów poprzednich. Otóż czytelnik, któryby pozował na tak zwane trzeźwe poglądy, wziąwszy do ręki „Farysa", w każdej jego strofie znalazłby zdania, będące napozór realnemi fałszami.

— Już to—mówi podobny czytelnik — że „Farys" przez pół dnia cwawował na koniu, to, że odstraszył sępa wzrokiem, to, że zniszczył cyklon, wydaje mi się rzeczą nieprawdopodobną. Składam to jednak na karb fantazyi mieszkańca wschodu. Ale jak można mówić o „wesołej łodzi, co pierś morza objęła wiosły lubieżnemi", albo o kamieniach, co „dziką na beduina poglądając twarzą kopyt końskich przedrzeźniają echa i groźby gwarzą?" Czy takie zdania nie są warte „rogów na głowie wrony", albo czy ów koń, „jak burzliwa chmura, z gwiazdą na czole, jak jutrzenka ciskający nogami błyskawice" nie jest „jabłonią, co gruszki rodzi?"

Słowem — mówi trzeźwy pogląd — w „Farysie" co zdanie to fałsz. Znamy przecież naturę i wiemy, że morze nie ma piersi, łódź nie weseli się, kamienie nie grożą, obłoki nie zazdroszczą, martwe przedmioty nie rozmawiają, ani dusza ludzka nie jest „pszczołą, która topiąc żądło i serce z niem grzebie".

Czy podobne zarzuty robił „Farysowi" jaki czytelnik — nie wiem. Ale to jest pewne, że w taki sposób krytycy-idealiści naigrawają się z krytyki realnej. Twierdzą oni, że najsilniejsze środki

poezji, mianowicie: porównania, nie mogą być oceniane „chłodnym rozumem“, ponieważ rozum pedantycznie domaga się prawdy, a porównania i przenośnie poetów są realnemi fałszami.

Na to krytyka realna odpowiada krytyce idealnej:

— Mylisz się kochanie. Żarty zaś twoje dowodzą, ze nie rozumiesz ani natury poezji, ani metody naukowego jej badania. Ty twierdzisz, że rozum poetyckie przenośnie winien traktować jak fałsze, a on tymczasem musi je traktować jak najwznioślejsze prawdy.

Przenośnie i porównania poetyckie można podzielić na trzy rodzaje:

1) Poeta przedmiotom martwym daje własności istot żyjących, a nawet duchowych, np.: „łódź uciekła z ziemi“, „kamienie podglądają dziką twarzą“, „zawstydzona palma szmerem liści się uśmiecha“, „obłok zaczerwienił się ze złości“.

2) Poeta własności jednego przedmiotu przedstawia za pomocą innych przedmiotów, np.: „woda, jak modry kryształ“, „koń, jak burzliwa chmura, polotem nóg białych błyskawice ciska“.

3) Poeta swoje uczucia albo pojęcia abstrakcyjne traktuje, jak przedmioty materjalne, np.: „tęsknota moja chodzi za tobą i wzdycha“, „poezjo! gdzie cudny pędzel twojej ręki“, „za myślą duszę utopiłem w niebie, jak pszczoła serce za żądłem“.

Co do 1-go. W pokoju stoi fortepian; uderzam w klawisz — fortepian odzywa się właśnie, jak powinien. Ale nie dość na tem; gram na skrzypcach i fortepien, jakkolwiek słabo, znowu się odzywa. Fortepian jest więc narzędziem, które nietylko wydaje dźwięki, ale i współdźwięczy.

Podobnem narzędziem jest dusza ludzka; ona nietylko myśli, ale i domyśla się, nietylko czuje, ale i współczuje i nietylko ludziom, ale i innym przedmiotom. Kiedy widzę człowieka, który idzie schylony, cofa się i zatrzymuje, nie odrywając oczu od ziemi, domyślam się, że on czegoś szuka. Kiedy dziki winograd zapuszcza w otwarte okno gałązki, mówię: po co on tam zagląda? Gdy patrzę na płaczącą wierzbę, myślę: ona jest smutna. Słowem, siłą domyślności i współczucia, obdarzam duchem przedmioty tak zwane martwe i z zewnętrznej ich postaci odgaduje stany psychologiczne.

Jest to jeden z najpiękniejszych i najnaturalniejszych objawów naszej duchowości. Jest on zarazem tak stary, jak dusza ludzka, czego mamy dowody nietylko we wszystkich poezjach, ale i w fetyszyzmie wszystkich ludów. Proces zaś ten opiera się na bardzo rozległem zjawisku w przyrodzie: u zwierząt ukazuje się ono w formie współczucia, a u przedmiotów tak zwanych martwych — w formie współdźwięczności, oddziaływania na siebie barw, temperatur, stanów elektrycznych i t. d. Uduchowiając zatem naturę, poeta nie fałszuje jej, lecz tylko uznaje wewnętrzną jedność między sobą i nią, tudzież między jej składnikami.

Co do 2-go Równie naturalnym, słusznym i prastarym jest ten rodzaj porównań, który polega na opisie własności jednego przedmiotu zapomocą innych przedmiotów. Wszyscy mówią: „blady, jak ściana“, „zimny, jak lód“ i t. p. O starości zaś tego sposobu świadczą hieroglify, gdzie np. lew jest symbolem siły i odwagi, a wół — pracowitości. Więc znowu niema tu fałszu, ale jest uznanie jedności w naturze, zaznaczenie tej prawdy, że: gdy pewien przedmiot posiada jakąś własność, to znajdują się inne przedmioty, posiadające też samą własność w stopniu wyraźniejszym.

Co do 3-go. Nadawanie form przedmiotowych ludzkim uczuciom i pojęciom abstrakcyjnym jest tylko zaznaczeniem faktu, że niema ducha bez ciała. Świadectwem dawności tego procesu są legendy o okazywaniu się osób zmarłych, których widziano tylko w wyobraźni, tudzież starożytne bóstwa, uosabiające: mądrość, gniew, odwagę, płodność i t. d.

W rezultacie, najpiękniejsze środki poezji, jak porównania i przenośnie, nie są bynajmniej fałszami. Z jednej strony, polegają one na przyznaniu zewnętrznej i wewnętrznej jedności całej natury; z drugiej, dowodzą, że poeci mierzą świat nietylko myślą, ale i uczuciem, że organizacje ich posiadają w wysokim stopniu władzę współczucia.

## V

Co to znaczy „organiczna całość“ poematu, owa cecha, której niema w cytowanem utworze, p. t. „Żyd i gruszki“?

Przypatrzmy się ludzkiemu ciału. Widzimy głowę, tułów, kończyny, a wewnątrz przewód pokarmowy, mózg, serce. Są to przedmioty, różne wielkością, formą i czynnościami; co innego robi noga, a co innego serce. Mimo to, owe różne przedmioty stanowią całość; każda bowiem ze wszystkiemi pozostałemi ma wspólny system nerwowy, krwioobiegowy, bliżej lub dalej łączy się z kręgosłupem. Nadto zaś owe oddzielne części wzajemnie się wspierają, tak dalece, że np. dla głowy potrzebny jest żołądek i ręce, dla rąk — głowa i żołądek. Nie koniec na tem. Jeżeli bowiem weźmiemy pod uwagę organ pojedyńczy, np. rękę, znowu zobaczymy w niej wiele rozmaitych części, ale mających wspólne gałęzie nerwów i naczyń. I znowu części te, z których każda ma specjalną czynność, wzajemnie się wspierają.

Prastara zasada estetyczna, mianowicie: „jedność w rozmaitości“, polega właśnie na tem, aby przedmiot, czy wyrób, przypominał układem swoim najogólniejsze cechy żyjących organizmów. Estetyczny termin: „harmonja“, oznacza wspieranie się rozmaitych części, „proporcja“ znowu oznacza to, że żadna z części składowych nie jest za wielką ani za małą, niekiedy zaś, w porównaniu z całością, odpowiada regule „złotej proporcji“.

Czy w „Farysie“ istnieją warunki jedności w rozmaitości? Bardzo widocznie. Ze względu na rozmaitość widzimy tam z jednej strony naturę, z drugiej jeźdźca. Natura ukazuje nam swoje składowe częci: niebo, na niem gwiazdy i obłok, dalej pustynie — jej oazy, skały, kępy, szkielety, huragan. Jeźdźca tworzy człowiek i koń; ten koń ma pewne barwy i kształty, niezwykłą siłę i szybkość, a człowiek: żelazne zdrowie, wytrzymałość, dumę, odwagę, poezję. Ma także łuk i strzały. Na obfitości szczegółów polega rozmaitość, a na ich cechach wspólnych — jedność.—„Farys“ ma duszę i natura także, te zaś dwie dusze spływają się ze sobą w ostatniej strofie poematu. Dalej — człowiek co chwila styka się z jakimś przedmiotem pustyni, który także ma duszę, fizjognomję, nawet mowę. Dalej — każdy przedmiot pustyni kojarzy się z człowiekiem, zacząwszy od palmy, która go wabi, skończywszy na huraganie, który go chce życia pozbawić. I jeszcze niekoniec. Każda bowiem pojedyńcza strofa poematu, niby organ ludzkiego ciała, znowu wykazuje rozmaitość i jedność. W opi-

sie np. konia spotykamy: chmurę, pióra strusie, jutrzenkę i błyskawicę. Rzeczy całkiem różne, ale każda z nich ma jakąś cechę wspólną z koniem, który zatem jest osią jedności. Wszystko to przekonywa, że w poemacie „Farys“ jest nietylko bogactwo rozmaitości, ale i bogactwo jedności. Między przedmiotami, objętemi opisem, jest mnóstwo wspólnych cech i zahaczeń. Jest on zatem całością organiczną, nawet dość skomplikowaną.

Istnieje tam harmonja, gdyż pojedyńcze szczegóły wspierają się w taki sposób, że każdy przedmiot w pustyni oświetla czytelnikowi charakter jeźdźca i naodwrót ów jeździec ułatwia nam poznanie charakterystyki przedmiotów. Natomiast, z realnego punktu widzenia rzeczy, brak poematowi proporcyj. Koń, malowany zapomocą chmur i błyskawic, jest zanadto wspaniałą istotą na swój gatunek, —obłok jest zanadto zazdrosny,—jeździec, rozbijający huragany, jest zbyt wielkim siłaczem. Równowaga przywraca się dopiero wówczas, gdy pomyślimy, że owa przesada, będąca dysproporcją dla umysłu europejskiego, jest właśnie charakterystyczną cechą poezji ludów wschodnich. Mickiewicz więc nie zbłądził, ale wiernie odmalował wyobrażenia miejscowe. Streszczając w plastycznym obrazie to, co powiedzieliśmy o jedności i rozmaitości poematu, można go porównać do dwu drzew, obok siebie rosnących. Jednem jest natura, drugiem człowiek. Oba one mają liczne gałęzie, które splatają się ze sobą, częściej krzyżują się, odpychają. Ale oba wyrosły z ducha powszechnego i obu wierzchołki jednoczą się znowu w duchu powszechnym. Planowi poety niepodobna odmówić wzniosłości. W pełnych życia obrazach przedstawia on najwyższą ideę, jakiej dosięgnął ludzki umysł.

VI

Tak tedy poznaliśmy machinę, nazywającą się poematem: „Farys“. Poznaliśmy jej materjał, jej kółka, ich obrobienie, a wkońcu jej ogólną architektonikę. Przypatrzywszy się drobiazgowo tej skomplikowanej robocie, już nie na wiarę czyjejś powagi, ale na mocy własnego przekonania możemy powiedzieć, że w wykończeniu i tej drobnostki Mickiewicz okazał się mistrzem, pełnym genjuszu, którym chlubić się mamy prawo.

— Dobrze — powie czytelnik—poznałem machinę, lecz w jakim celu jest ona zbudowaną, czyli co ona robi?

Duch ludzki równie jak ciało, posiada bardzo wyraziste i naglące potrzeby zewnętrznych pobudek. Jedne z nich utrzymują jego istnienie, drugie — rozwój. Aby duch istniał, nie tracąc już posiadanej treści, musi ją ciągle odświeżać za pomocą doświadczeń, przypomnień i rozmów, inaczej wyobrażenia zacierają się, uczucia bledną i stygną. Aby zaś duch rozwijał się, musi przyjmować nową treść, t. j. poznawać nowe przedmioty i uczucia, następnie musi treść już posiadaną różniczkować, czyli rozkładać na nowe pojęcia i uczucia, a nareszcie całkować ją, czyli tworzyć nowe połączenia już nie istniejących pojęć i uczuć. Gdy poznaję w ogólnych zarysach np. telefon, zdobywam nową treść. Gdy po pewnym czasie drugi raz oglądam telefon, odświeżam treść dawną. Gdy następnie rozpatruję szczegółowo: magnesy, stos elektryczny, blaszki głosowe, dzwonek sygnałowy, telefon, wówczas różniczkuję dawniej nabytą wiadomość. A gdy dowiem się o zastosowaniu telefonu do celów wojskowych, albo lekarskich, całkuję wiadomość o telefonie z innemi również dawnemi wiadomościami. Podobne procesy zachodzą w sferze uczucia i woli i nietylko w życiu jednostek, ale w całej cywilizacji. Otóż celem literatury jest: podtrzymać istnienie i rozwój ducha jednostek i społeczeństw. Nauki ścisłe podtrzymują w ten sposób myśl, nauki społeczne myśl i wolę, a literatura piękna — myśl, uczucie i wolę naszą, tę ostatnią przynajmniej pośrednio.

Znaleźliśmy więc miarę do ocenienia „użyteczności“ poezyj. Użyteczność ta jest innego rodzaju, aniżeli np. pożytek z obuwia, domów, albo dróg żelaznych; jest ona natury duchowej, ale — jest. Nowszy nawet kierunek krytyki przeważnie zajmuje się tą tylko stroną utworów pięknych.

Tu przedewszystkiem nasuwa się pytanie: o ile układ „Farysa“ odpowiada zasadom umysłowej mechaniki? o ile umysł czytelnika poematu, nie szarpie się i nie nuży? Pierwszym z takich warunków jest jasność; że definicje Mickiewicza celują jasnością, mówiliśmy w uwagach nad językiem. Drugiem warunkiem jest stosunkowość. Psychologja uczy, że my o tyle poznajemy: wrażenie, przedmiot, uczucie, o ile im towarzyszą inne wrażenia, inne przedmioty, inne uczucia. W „Farysie“ zasada ta jest uwzględniona na każdym kroku; bieg konia zestawia się z biegiem łodzi, pustynia z morzem, uczucie ludzkie z przedmiotami, które je wywołały, człowieka z naturą. Nic tam nie stoi samotnie, każda rzecz posiada otoczenie, które robi ją bardziej wyraźną. Trzecim warunkiem jest „stopniowanie i rytmiczność“. Że on jest zachowany, przekona o tem kolejne wyliczenie obrazów nakreślonych przez poetę. Łódź pływa po morzu; koń wybiega na pustynię. Palma zaprasza jeźdźca na cień i owoc. Kamienie zapowiadają mu pustkę i spiekotę. Sęp mówi o zapachu trupim i bezdrożu. Obłok o nieugaszonem pragnieniu. (Do tej chwili potęgowała się groza pustyni, teraz — moment wypoczynku). „Farys“ podziwia samotność i ciszę. (Po wypoczynku — bardzo silny obraz). Gromada szkieletów zapowiada uragan. Pojawienie się uraganu. Jego zdziwienie, gniew, wściekłość. Walka z „Farysem“. (Nagłe przejście). „Farys“ zwycięża huragan. Wybuch dumy i zachwytu. Rozmarzenie. W tym suchym rejestrze dokładnie jednak widać, jak myśli i uczucia grozy w czytelniku stopniowo potęgują się, spadają, nagle nabywają ogromnej siły, znowu nagle przybierają wprost przeciwny kierunek — zadowolenia. Stopniowanie w rytm prześliczny! Jasnem jest, że tak podaną potrawę czytelnik nietylko przełknie łatwo, ale i z przyjemnością. Lecz jaki w niej posiłek znajdzie jego dusza?

Nie wchodząc w drobne szczegóły, które odświeżają w czytelniku mnóstwo wrażeń, uczuć i poglądów, widzimy w poemacie dwa główne przedmioty: pewien typ natury, pustynię i — pewien typ człowieka. Pustynia, przynajmniej dla tych, którzy ją znają z książek, jest przedstawiona dosyć wiernie. Naukowy jej opis z pewnością byłby dokładniejszy; z tem wszystkiem jest fakt, że definicja naukowa rozszerza wiedzę tylko garstki uczonych, a obraz artystyczny staje się nabytkiem szerokiego ogółu i to nabytkiem bardzo trwałym, głęboko wyrytym w rozmaitych władzach duszy. Ostateczny zaś pożytek dla nas jest ten, żeśmy trochę poznali pustynią, trochę ją polubili i nabrali nieco ochoty zobaczenia jej cudów choćby zdaleka. Natomiast typ ludzki, „Farys“, jest dla nas z tego względu ważniejszym, że kiedy pustyni u nas niema i nie było, to „Farysowie“ we właściwej epoce

tworzyli bardzo poważną cyfrę w społeczeństwie, a kto wie, czy resztki ich i dziś jeszcze nie tułają się między nami.

Czem jest ów Farys Mickiewicza? Jest to człowiek potężnych sił i nadludzkiej odwagi, słowem — materjał na bohatera. Ale zarówno dla łagodnej palmy, jak dla złośliwych kamieni i drapieżnego sępa, jest pełen dumy i wzgardy. On goni za szerokiemi horyzontami, z krwi i kości jest awanturnikiem. Opoczysty kraj i oaza karmicielka, już go znudziła, więc pędzi na złamanie karku, gdzieś, nie wiadomo gdzie, na środek pustyni, gdzie bezmierny jego egoizm nie znajdzie współzawodnika, nawet do oddychania tem samem powietrzem. Krótko mówiąc „Farys" jest wcielenim najbardziej krańcowego indywidualizmu. Jego nic nie wiąże, jak i nic nie zatrzyma, ani zawróci z drogi, jeżeli obudzi się w nim instynkt zużycia olbrzymich sił. A ponieważ w społeczeństwie nie potrafi ich zużyć dla dobra innych, więc ucieka bodaj na pustynię, ćwiertując i wywracając wszystko, co jego fantazjom kładzie zaporę. Przy takim charakterze Farysa, wielkie przymioty stają się szkodliwemi, a jego kontemplowanie natury — zwykłem próżniactwem.

Czy do nakreślenia typu Farysa Mickiewicz czerpał z Byrona? rzecz małej wagi. To bowiem jest pewne, że epoka współczesna i poematowi i poecie liczyła sporo podobnych figur. Proszę przypomnieć Wacława Rzewuskiego, któremu „Farys" był poświęcony, a dalej: sławny legjon bałagułów, cyganerję literacką i całą armję — panów i półpanków, którzy z kraju wcwał pędzili zagranicę, rzucając garściami pieniądze, nie przez nich zapracowane! Proszę to przypomnieć, a zrozumiemy, że „Farys" najdoskonalej mógł się urodzić na naszym własnym gruncie. Że ten poemat zrobił wrażenie, dowodem bodaj „Farys" Balińskiego. Baliński poszedł śladem Mickiewicza i mimowoli pokazał nam skutki farysostwa. To też kiedy „Farys" I-szy był rozhukany, „Farys" II-gi jest bredzącym dziadem, który także chce bujać próżniaczo na słońcu, ale w czasie antraktów już kłóci się z wydawcami, że mu źle płacą.

Jakie drzewo, taki owoc. Z powyższych względów „Farys" ma wartość obrazu duszy, głęboko odczuwającej naturę — jest obrazem typu z przeszłości. Ale jako wzór człowieka, jest on wzorem złym; tak złym, iż mamy prawo cieszyć się, że już w kraju zaginął. W tym więc wypadku Mickiewicz był tylko kronikarzem swego czasu, ale nie nauczycielem narodu.

Było dwu miłośników natury, których opisywał Mickiewicz. Jeden w pustyni uronił słowa.

„Oddycham!... Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi."

Drugi zaś w stepie:

„Tak ucho wytężał ciekawie, że słyszałby głos z Litwy".

Pierwszy rujnował swoje społeczeństwo, drugi był wielkim jego obywatelem.

## VII

Streszczam to, co się dotychczas powiedziało.

Poemat „Farys" badaliśmy metodą przyrodniczą, posuwając się w dwu kierunkch. Naprzód oglądaliśmy go jako machinę, a więc: materjał językowy, charakterystyczne cechy poetyckich definicyj i ogólną budowę poematu. Tu przekonaliśmy się o jego zadziwiającej doskonałości i o genjuszu jego twórcy. Powtóre badaliśmy sposób działania machiny na duszę, a zarazem: użyteczność tego działania. Otóż wpływ poematu jest potężny: wstrząsa on ducha do głębi we wszystkich kierunkach i budzi wzniosłe poglądy na naturę i jej zjawiska. Jednocześnie poemat rzeźbi w duszy czytelnika ideę „Farysa". Idea ta jest o tyle użyteczna, o ile przedstawia i formułuje typ istotny, o ile jest przyczynkiem do historji społeczeństwa. Lecz idea ta jako wzór człowieka, jest szkodliwa; tacy bowiem farysowie nie są obywatelami, ale pasorzytami społeczeństwa.

Definjując zaś charakter Mickiewicza na podstawie powyższego poematu, możemy powiedzieć:

Był on wielkim mistrzem języka, poetą zdumiewająco ruchliwej wyobraźni, silnych uczuć i rzadkiego współczucia. Swoje otoczenie, swoją epokę i jej gusta, odczuwał przepotężnie, wszystkiemi nerwami i dlatego malował ją w porywających obrazach. Lecz właśnie, dzięki tysiącom nici, łączącym go z otoczeniem, nie umiał się od niego oderwać, z góry spojrzeć dalej. Był on arcykapłanem, który opowiada swemu narodowi: jakim jest, ale nie był prorokiem, który uczy naród: jakim być powinien, a jakim nie powinien.

Gdyby umysł Mickiewicza górował nad jego uczuciem i współczuciem, gdyby posiadał więcej zdolności abstrakcyjnych i dedukcyjnych, aniżeli wyobraźni, może poeta w opisie tego samego „Farysa" zostawiłby nam nietylko typ, ale wzór. Nie trzeba jednak zapominać, że przewaga rozumu osłabiłaby nieco wyobraźnię i uczucia autora, poemat musiałby być nieco bledszy, nieco chłodniejszy, a język mniej jędrny. W rezultacie poemat „Farysa" trzeba wziąć, jakim jest i umieć z niego wybierać korzyści. Jest on wzorem poetyckiej machiny i wzorem tego: jak należy malować typy, aby nazawsze zostały w literaturze narodu. Lecz wzorem postępowania w życiu, któryby wartoby naśladować, „Farys" nie jest i nie był. O ile zaś był, o tyle tylko złe skutki wywołał, stawiając na piedestale krańcowy indywidualizm, awanturniczość i próżniactwo.

Uwagi te ani zmniejszają sławy, ani uwłaczają genjuszowi Mickiewicza. W historji naszej cywilizacyi należy on do zjawisk pierwszorzędnych, błędy jego stwierdzają znany fakt, że na świecie nic nie jest doskonałe; gdyby zaś tu i owdzie wywarł wpływ szkodliwy, pociągając umysł społeczeństwa na niewłaściwą drogę, jeszcze i w takim wypadku wina spadałaby nie na niego, lecz na społeczeństwo. Poeta jest tem, czem się urodził i czem urobiły go okoliczności; do społeczeństwa zaś należy odróżnić jego zalety od wad, uniknąć drugich, a z pierwszych wyciągnąć wszelkie korzyści.

W każdym razie dzieła Mickiewicza należą do najznakomitszych pomników literatury powszechnej. Badać je powinni czytelnicy, dla gimnastykowania wyobraźni, pisarze dla nauczenia się pisać, krytycy — dla dowiedzenia się, czego wymagać od autorów i jak ich sądzić. Przyszły polski estetyk znajduje tu materjał do nowych poglądów w dziedzinie filozofji sztuki, a całe pokolenia niewyczerpane źródło przyjemności.

Sprawa wciąż stoi otwarta; na nasze bowiem nieszczęście, zaufana w siły krytyka, ciągle puszcza się na największe dzieła poety, nie zbadawszy dokładnie i wszechstronnie jego utworów drobnych.

Warszawa, 18 list. 1885. BOLESŁAW PRUS

# NA WIDOWNI

Prometeusz w kabarecie. — Socjalizm jako ruch emancypacyjny żydów. — Wyspiański, Kasprowicz i Przybyszewski. — Czarna msza w Krakowie. — Manifest Boya. — Upadek literatury.

NIEJEDNOKROTNIE stawiano sobie w krytyce literackiej pytanie, w jaki sposób historja literatury zachować się ma wobec żywiołu żydowskiego, który na ostatnim przełomie stuleci wtargnął do piśmiennictwa polskiego. Pytanie to narzuciło się z całą kategorycznością, kiedy się ukazało nowe wydanie historji literatury Konstantego Wojciechowskiego, uzupełnione za ostatni okres w ten sposób, że pisarze semiccy wypełnili pierwsze szeregi armji literackiej. Ba! — prym i dowództwo historyk im oddał.

Co się stało? Pięćdziesiąt lat temu jeszcze był tylko Klaczko jeden, pod koniec stulecia wypłynął Antoni Lange, również zasymilowany z nurtem literatury polskiej. A jednak już wtedy Bolesław Prus, wrażliwy artysta, poczuł jakąś różność między naturą poezji polskiej a Langego. Znamienna była jego uwaga:

„U p. Langego między trudnemi rymami człowiek przedziera się jak przez krzaki cierniste, u Karpińskiego z poza słów naiwnych, jak mowa dzieci, wygląda — tęsknota“...

Bo tak było. „Moderniści“ zdobywali rzemiosło, i wypowiedziawszy tęsknotom polskim wojnę, bili polskich twórców techniką wydartego im oręża artystycznego.

T. zw. modernizm zaczął wekslować literaturę z głównej linji, którą dotąd biegła od Kochanowskiego przez Mickiewicza, Karpińskich, Prusów, Sienkiewiczów do Wyspiańskiego... Kasprowicz u samego progu swej wielkiej twórczości ważył się w sobie, zmagając się z prądem, który go w szkole niemieckiej spotkał. Krzepki duch jego przezwyciężył fałszywe nastawienie, a swoje zmaganie z szatanem wypisał w „Marchołcie“.

Cóż to był za prąd? Ten, który przez nasz świat zachodni w Europie przeszedł wraz z wcielaniem nauki Marxa. Był to ruch żydowski, „odwracanie wartości“ dotychczasowych w cywilizacji zachodniej, ruch idący z Niemiec, u nas w Polsce podający rękę nihilizmowi rosyjskiemu i tam w Rosji przerabiany na wschodni obrządek myślenia, stamtąd do nas wracający w jeszcze złośliwszej postaci, aby nas brać z dwu stron, w dwa wirujące nad Polską podmuchy. Prąd ten słabsze kultury wywracał do góry nogami; tak się stało ostatecznie z Rosją. Jeśli chodzi o literaturę, on jest sprawcą upadku jej u nas. On szamotał Żeromskim, rozdwajał go i krzyżował. On wprowadził do literatury żydów, stojących na czele ruchu socjalistycznego. Sienkiewicz dał tytuł swojej powieści: „Wiry“. Miał na oczach wojnę lat 1905 — 6 polsko-socjalistyczną. Na ulicach Warszawy lała się krew.

Polska się oparła sile jawnej, ale w literaturze żydzi znaleźli swego konia trojańskiego. Stąd wyłażą siły ciemne na podbój wewnętrzny — podjadki cywilizacji.

Dzieje tak chciały, że ta zwrotnica, weklsująca naszą literaturę na nowe tory, przypadła na Kraków. Na początek stulecia przybył tutaj z Berlina Przybyszewski, pisarz dotąd niemiecki, redaktor berlińskiej „Gazety Robotniczej“, zaprawiony w socjalizmie tyle właśnie, ile potrzeba było duszy polskiej do zupełnego znieprawienia, ile potrzeba na to, aby głosić naukę „C h u c i“. Chyba tak wypadło dla symbolu, że pochodził z tej samej wsi, co Kasprowicz i mienił się jego wyznawcą...

Czemże były hymny Kasprowicza „Ginącemu światu“, jak nie przeczuciem zagłady, grożącej duchowi ludzkiemu? Widział, jak:

„Z pod korzeni jadowitych ziół, z pod kęp sitowia i trzciny i traw, z rowów, przepadlisk, wądolców i jam, pokrytych opalowem szkliwem zgniłych wód zaczyna wypełzywać żmij skłębiony płód: czarne pijawki, zielone jaszczury wiją się naprzód wpław i oplatają kręgami śliskiemi męczeńskich krzyży smutne miliardy... I oto głowy swoje, dziwne ludzkie głowy, świecące trupim tłuszczem zżółkłych, łysych czół, o szczękach, otulonych kłębem czarnych bród, kładą na łonach tych pomarłych ciał... I biodra opasawszy w lubieżnym uścisku, zwilgotniałemi usty s z e p c z ą  i m  s ł o w a  r o z p u s t y“...

Tak witał przybyszów, którzy szli na Polskę, aby zgasić tragiczność:

„O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
Gdzie ciężki trud rozpoczęto,
Niech trud ten żniwem się stanie!“

Otóż w Krakowie w owych czasach wtórzył wielkopolaninowi Wyspiański:

„Daj nam poczucie siły i Polskę daj nam żywą. Jest tyle sił w narodzie, jest tyle mnogo ludzi. Niechże w nie Duch Twój wstąpi i śpiące niech pobudzi... O, daj nam, Jezu Panie, Twą Polskę objawienia!“

Ale jednocześnie w tym Krakowie odprawiał swoją „czarną mszę“ Przybyszewski. Tam w Krakowie, w łonie Młodej Polski była nastawiona zwrotnica. Przybył do nas z Niemiec, jak dawniej Romantyzm, ale jakże z odmienną ewangelją! Puścili go w świat już nie Heglowie i Szyllerowie, lecz jakaś brukowa cyganerja berlińska z akompanjamentem hałaśliwej reklamy. Słabe życie umysłowe polskiego ogniska dało, oczywiście, na razie słabe rezultaty. Ale rzecz przeznaczona była na przewlekłe działanie, takie, jak owego grzybka, który ma toczyć drewnianą budowlę.

Ruch ten emancypował w Polsce żydów, oczywiście chorążymi musieli być Polacy; oni stwarzali ogniska nowego życia literackiego; o n i  w a l c z y l i  z  t r a g i c z n o ś c i ą  p o l s k ą  o  p r a w o  k a b a r e t u  d l a  ż y d ó w.

Niemcy, którzy nam, jak Lenina do Rosji, wpuścili do Polski Przybyszewskiego, nie myśleli wtedy, że za lat trzydzieści, sami będą się musieli ratować od zatrucia żydami. Czemże są dzisiejsze torsje hitleryczne?

Życie zwiało Przybyszewskiego z powrotem do Niemiec, ale w Krakowie pozostał z jego posiewu taki Boy, ministrant dotąd kapłana Chuci. Odrzuciwszy metafizykę niemiecką Przybyszewskiego, jako woal już zbędny, obnażył nagą duszę literatury. Ona nie będzie już rzeczniczką i wychowawczynią narodu, ona obróci w żart ambicje Prometeuszów. Trzy były zasadnicze motywy twórczości: 1) miłość, 2) dążenie do prawdy, 3) troska społeczna. Epimeteusze odwrócić mają to wszystko na opak: od ducha do ciała, od wieczności do chwili użycia, od narodu do jednostki, od idealizmu — do materjalizmu.

Manifest szczery w tym duchu ogłosił Boy w r. 1907, nie wstydząc się bynajmniej Wyspiańskiego. Nazwał rzecz „modernizmem“ i w wierszu, adresowanym do literatury polskiej na ręce St. Tarnowskiego, wyjaśnia, że „modernista — znaczy chłopak, co wszystko robi na opak“.

„Przewartościowywanie“ naszej epoki odbywało się już w Krakowie według schematu, ilustrowanego w programie Boya:

„Ciotka prawi o „Trzech Psalmach“, Józio o „tańczących palmach“; ciotka mu o apostołach, on jej o spermatozoach; ciotka uczy, kto był Gallus, on poprawia: „Ciociu, Phallus! Ciotka, znów z innego wątku, baje o świata początku, Józio się ząb za ząb kłóci, że świat cały powstał z CHUCI. Mruknie ciotka w pasji szewskiej: „Wciąż ten łajdak Przybyszewski! „Ciotka znów o ideałach, — Józio: ciociu, co to wałach?“

Kraków zaśmiewał się z ciotki i klaskał, gdy w Zielonym Baloniku, deklamowano pieśń wieczorną Boya:

„Kiedy wieczór już zapada, ciotka do snu się układa: Józiu, zostaw ten rozporek i chodź odmówić paciorek. Niech Józio przy łóżku klęknie i powtarza głośno, pięknie: „Boziu usłysz głos chłopczyny, odpnść „synów“ naszych winy! Polska cię na pomoc woła! Niech tradycji i kościoła pozostanie sługą wierną, erotyzmem i moderną niech się naród ten nie spodli! Teraz Józio się pomodli, za mamusię, za tatusia, potem grzecznie się wysiusia i spokojnie, cicho zaśnie. Brzydki chłopak mruknął: „Właśnie!“

Jakież to żydowskie! Wydawało się to niewinnym kaprysem poetyckim, a to był program — widzimy już teraz, jak konsekwentnie rozwijany i szerzony we wszystkich dziedzinach sztuki i obyczaju — ba — nawet prawa. Boy stał się doradcą kodyfikatorów. W Krakowie „modernistyczny“ charakter przybrała nawet polityka. *Vide* czasy wojny: wszystko — na opak i na złość ciotce... A później, w wolnej Polsce czyż nie z kabaretu radosny obóz „modernistów“ bierze tempo i fantazję?

Przedtem zmieniały się obrazy według przewagi pierwiastków rozumu i uczuć, wszystkie jednak, jak zaznaczyłem pisząc o Prusie w zeszycie poprzednim, stanowiły ciągłość wzajemnie się uzupełniającą. Nowością wieku XX jest kabaretowy cynizm, szydzący i z rozumu i z uczuć. Zastąpiono je dowcipem. Zasadniczą formą obecnej poezji jest kuplet z rodzynkiem dowcipu (*szmonces*). Ten typ „natchnienia“ widzimy nie tylko w kupletach, śpiewanych w kabarecie; jest on zasadą większości utworów lirycznych, nowel, fejletonów, utworów dramatycznych; cały Boy, taka Marja Pawlikowska, cały Tuwim — to kuplety. Barwią się nieraz pozorami liryzmu, miłości, religijności, tragiczności, ale istotą ich — dowcip, wyrób kalkulacji artystycznej, bez żadnego związku z życiem duszy.

To też kabaret, będący w ręku żydów, wiodący swój ród od Zielonego Baloniku, stał się świątynią sztuki epimetejskiej. Poeci sprowadzili się z Parnasu do podziemi, spółzawodnicząc i dzieląc się zyskami z *dancing*'iem i z domem schadzek. Zaczęło się od dowcipów, ale oparło się wszystko na niezawodnych *girls*'ach i królowych piękności (*miss*) na pograniczu zabawy i handlu żywym towarem. Największej radości ten półświat dożył z ukazaniem się kodeksu karnego, pomijającego kwestję homoseksualizmu. Tu był trjumf Boya.

Świat ten domagał się akademji literatury, a cóż z tą literaturą zrobił? Co zrobił z teatrem? Pierwszorzędny teatr, który nie tak dawno umiał wystawiać „Nieboską Komedję“, „Kordjana“, „Wyzwolenie“ z chlubą ogłasza, że zawarł spółkę z Bandą (dosłownie: Banda) kabaretową, teatr Narodowy wystawia farsy cudzoziemskie typu kabaretowego... Literatura ta ma stosunki, stała się poniekąd oficjalną, a to już staje się dramatem naszej kultury, źle strzeżonej.

Trutki żydowskie zabiły literaturę i teatr, zdeprawowały publiczność, wyniszczyły ludzi utalentowanych. Muszą to przyznać, bo najlepiej o tem wiedzą, pisarze żydowscy. Gdyby ich talentów nie opłacały przybytki podkasanych muz, byliby takimi nędzarzami, jak polscy literaci z prawdziwej literatury. Oni sami daremnie będą szukali talentów do swojego pisma, a zaczęło się szumnie od „Skamandra“, pożyczonymi z „tamtej“ literatury (od ciotki) pisarzami. Ratować się muszą pornografją pod pozorem studjów społecznych nad zagadnieniami seksualnemi. Ale to już odstrasza, nie przyciąga. Przecież widok literatów i literatek (podpisanych!), babrzących się w obrzydliwościach cielesności, przypomina klatkę z małpami w ogrodzie zoologicznym.

Ale co dalej? Uciecha cielesna i cynizm mają swój zwykły koniec. Już teraz widać obrzydzenie i znudzenie. Bo ostatecznie kto może dłużej zajmować się zboczeniami seksualnemi, czy zabawkami, jakiegoś zwyrodniałego Józia! Boy, wzgardziwszy Słowem dawnej literatury, w „Słówkach“ pisał swój ponury program, a teraz półsłówkami plotkarskiemi i sprośnemi musi ratować swoją poczytność na Nalewkach.

Społeczeństwo zdrowe, odradzające się w pokoleniach, jak widzimy, pełnych tężyzny sportowej i wojskowej, a przytem religijnych, musiało się odwrócić od literatury typu żydowskiego z odrazą. Niestety, żydzi mają to do siebie, co niegdyś Hunnowie, że nie rośnie trawa, gdzie ich noga stąpiła. Arena literacka jest wyniszczona. Literatura straciła na wadze w życiu. Społeczeństwo dzisiaj obywa się bez niej.

Trzeba teraz długo pracować od podstaw, aby glebę duchową literatury oczyścić. Trzeba było przedewszystkiem te rzeczy przykre otwarcie wypowiedzieć. Zuchwałe próby niszczenia zasad idealizmu w literaturze polskiej musimy przerwać.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

PORUCZNIK ŻWIRKO I INŻYNIER WIGURA — NIE ŻYJĄ. Dzienniki powiadomiły już o szczegółach katastrofy, której ofiarą padli podczas przelotu nad Cierlicami, na Śląsku Cieszyńskiem, dnia 11 września, o godz. 8 rano.

Smutno. Nie chce się sięgać do zapasu gotowych formuł dziennikarskich, używanych zazwyczaj dla wyrażenia narodowej żałoby. Trudno pisać nekrolog o kimś bliskim. A porucznik Żwirko i inż. Wigura, w ciągu ostatnich tygodni stali się nagle ludźmi drogimi, bliskimi — dla serc miljonów Polaków. Osobiście uradowany i dumny był każdy z nas niedawno z ich trjumfu, jako cios osobisty również miljony nieznajomych odczuwają dzisiaj ich śmierć na posterunku.

Wieczny odpoczynek...

CICHO I PRAWIE NIEPOSTRZEŻENIE dokonała się ostatnia rekonstrukcja rządu. Snadź naturalne to, że w dobie ostrego kryzysu gospodarczego wieść o zmianie (m. in.) na stanowisku ministra skarbu przeminija tak bez wrażenia. W istocie, trudno się dziwić. Ależ objętość ta—to najoryginalniejszy wyraz wychowanej przez *régime* pomajowy „demokracji“. Jak wiadomo czytelnikom gazet, obóz rządzący, podawszy w pogar-

dę wiele nieprzyswojonych dobrze przez nasze społeczeństwo tradycyj ustrojowych Zachodu, nie zerwał jednak z hasłem „demokratycznem“. Nie chodzi przytem o treść hasła. *Régime* chce nazywać się „demokratycznym“, bez względu na zmianę sensu słowa. Gazety sanacyjne informują, że demokracja, właściwie rozumiana, to nic innego, jak poczucie w masach odpowiedzialności za los państwa. Tak pojęta, może nie kłócić się demokracja np. z dyktaturą. Może — zauważmy mimochodem — uświetniać wszelki ustrój państwowy lub społeczny, w którym życie całości w danym momencie pomyślnie się zorganizowało. Francja może być demokratyczną w tym sensie, — a tak samo czasem państwo mikada, chana albo bogdychana. Określenie, jak widzimy, praktyczne, bo ogromnie pojemne. Bądź co bądź ma tę wadę, że z trudnością zmieści się w niem dzisiejsza Polska. Oczywisty i jawny dla każdego skutek rządów pomajowych — to powszechny zanik zainteresowania sprawami publicznemi, zwłaszcza politycznemi. Obojętność na zmiany rządu, tak częste po zamachu, jest u ogółu coraz doskonalsza. Wytwór nowych warunków, nowego politycznego wychowania. Bezwątpienia, jesteśmy demokracją w znaczeniu technicznem słowa. „Obywatele“ nadal „korzystają“ z prawa wyborczego; ale nikt nie łudzi się, jaki musi być wynik wyborów w obecnych warunkach. Poczucie zaś odpowiedzialności za sprawy państwa znajduje u społeczeństwa wyraz w coraz wyborniejszej objętości na to, kto niem rządzi, i jak. Wytworny *spleen* polityczny, ogarniający społeczeństwo od kmiotków do ziemian. Nienarodowy? Ależ nabyty w szkole wychowania — „państwowego“.

NIETYLKO KONFERENCJA ROZBROJENIOWA, ALE I CAŁA POWOJENNA „ORGANIZACJA POKOJU“, mająca za narzędzie swe Ligę Narodów, niespodzianie weszła w stadjum najostrzejszego kryzysu. Z początkiem bieżącego roku wyjaśniło się, na tle perypetyj zatargu o Mandżurję, że Liga niezdolna jest działać tam, gdzie działanie (t. j. zastosowanie sankcyj, przewidzianych statutem w stosunku do państwa — napastnika) — mogłoby mieć większe znaczenie. Obecnie chodzi o samo istnienie Ligi. Pod koniec bieżącego roku zagrożona będzie wystąpieniem Niemiec, Japonji, Włoch i prawdopodobnie Węgier z liczby członków. Oczywiście, wątpliwe jest, czy Liga, tak uszkodzona, mogłaby dalej istnieć. Co do Japonji, to jej stosunek do Ligi zależy tylko od rozwoju sprawy aneksji Mandżurji. W najbliższych dniach opublikowane być mają zalecenia Komisji Lyttona, która z ramienia Ligi „badała“ sprawę na miejscu. Wedle informacyj prasowych, poprzedzających ogłoszenie, raport zalecał uznanie abstrakcyjnej suwerenności Chin nad Mandżurją, przy pozostawieniu kraju tego we władzy Japonji. Ma to być kompromisowe, i możliwe do przyjęcia dla japońskiego najeźdźcy rozwiązanie. Ale zgoła niepewne, czy kompromis, ułożony wedle genewskich zasad, znajdzie uznanie w Japonji, nawewnątrz targanej walką swoistych nacjonalizmów, walką, której objawy trudno nieraz rozumieć zdaleka. Nie ulega wątpliwości, że członkostwo Ligi krępuje znacznie, i może jeszcze więcej w przyszłości krępować Japonję w jej działaniach na wschodzie; i że w razie, gdyby kompromisowość Ligi była niedostateczna, Japonja jest zupełnie zdecydowana Ligę opuścić. Ale w krytyczniejszem jeszcze położeniu postawiło Ligę żądanie Niemiec, aby przyznane im zostało równe prawo do zbrojeń. O zniesieniu lub zmianie artykułu Traktatu Wersalskiego, regulującego tę kwestję, kompetentna jest rozstrzygać — Rada Ligi Narodów. Lecz Niemcy zapowiedziały zgóry, że w każdym razie się uzbroją na serjo. Nie zrobią tego tylko wtedy, jeśli na konferencji rozbrojeniowej inne państwa naprawdę postanowią rozbroić się na wzór niemiecki... W „*Sunday Times*“ z 11,IX zabrał głos Mussolini, stanowczo popierając stanowisko Niemiec w tej sprawie. Musi być uznane prawo Niemiec do uzbrojenia się narówni z innymi. Lecz odrazu powiedzieć trzeba“—dodawał— „że jest w tem najwyższy interes Niemiec, żeby w sposób umiarkowany skorzystały z tego prawa, i to dopiero, gdy konferencja rozbrojeniowa, pomyślnie lub nie, zakończy swoje prace... Gdy już odzyskają równe prawo do zbrojeń, muszą okazać przed światem swe umiarkowanie, roztropność i prawdziwe pragnienie pokoju i współpracy z innymi. Jeśli konferencja rozbrojeniowa skończy się fiaskiem, nowe urządzenie sił zbrojnych Niemiec musi być w skali proporcjonalnej do tego niepowodzenia, i w każdym razie musi być przedmiotem umowy między wszystkiemi zainteresowanemi stronami...“ Te uspokajające wyjaśnienia i frazy o „roztropności“ Niemiec nie najmniej uprzytomniają powagę położenia, w jakiem wnet się znajdzie powojenna Europa. Tu interesuje nas przedewszystkiem los Ligi Narodów. Pod tym względem Mussolini wypowiedział się wyraźnie: „Ustąpienie Niemiec (z konferencji rozbrojeniowej) miałoby za skutek sparaliżowanie jej i odroczenie bezterminowe. Byłby to zarazem“ — czytamy — „cios śmiertelny dla Ligi Narodów, która ostatnio poważnie została zagrożona postawą Japonji i zastrzeżeniami Włoch.“ Czy zaś Niemcy z konferencji wystąpią? Nieoczekiwanie wszystko zależy od ciała, które choć obrót rzeczy był do przewidzenia, wcale nie było przygotowane na to, że obrady jego mogą mieć tak realną powagę. Dosyć trudno wyobrazić sobie powszechne rozbrojenie do *minimum* niemieckiego. Ten wynik, że Niemcy się uzbroją, wydaje się przesądzony. Niema przymusu, któryby dziś mógł temu zapobiec. Ciekawe, czy ten nieunikniony wynik polityki powojennej aljantów pociągnie za sobą w sposób nieunikniony także ruinę ich powojennego dzieła zbiorowego—Ligi?

# JESZCZE O SMIERCI MICKIEWICZA

SPRAWA PRZYCZYN ŚMIERCI MICKIEWICZA toczy się w prasie w dalszym ciągu. Po zbadaniu niektórych świadków i „tajnego detektywa“, który sprawę wszczął, — przemówił teraz prokurator. Znalazł się i on, oczywiście na to, aby sprawę jeszcze zagmatwać. Pan dr. Roman Brandstaetter ogłosił w „Gazecie Polskiej“ (nr. 250 i 251) artykuł p. t. „Winowajcy“, w którym na podstawie listu Ludwiki Śniadeckiej (Czajkowskiej) z 29 listopada do Zwierkowskiego oskarża całe otoczenie ówczesne Mickiewicza, że przyczyniło się do jego śmierci, nie zapewniając mu opieki dostatecznie troskliwej:

„Zatem otoczenie poety, chcąc usprawiedliwić swoją niedbałość, skonsternowane, przerażone i zdezorjentowane szybką śmiercią Mickiewicza rzuciło pogłoskę—o otruciu“.

Taki jest ostateczny wniosek. Nie było otrucia. Dziwnej jednak metody naukowej trzyma się ten badacz; bo cóż było prostszego, jak przytoczyć list Śniadeckiej! Pan Br. daje urywki, zaciera cudzysłowy, wstawia nawiasy, sam wiele wygłasza twierdzeń, nie powołując się na źródło.

Prokurator wychodzi z założenia, że Mickiewicz, jadąc do Konstantynopola, tak był wyniszczony fizycznie i moralnie, że choroba i śmierć przyjść musiały. Jako świadectwo tego wyniszczenia przytacza wrażenie malarskie J. Stallera, który jako żywo nic nie mówi o wyniszczeniu, stwierdza tylko, że Mickiewicz utył i przez to zmieniły mu się rysy twarzy. Oto jak wygląda Mickiewicz w r. 1855 w oczach p. Brandstaettera:

„W chwili wyjazdu na wschód w r. 1855 liczył Mickiewicz lat 57. Jednak z powodu tragicznych przeżyć rodzinnych, trosk materjalnych i walk duchowych był człowiekiem zgrzybiałym, steranym i chorym. Śmierć żony, nędza materjalna w domu, ciągłe upadki i wzloty duchowe, walka z kościołem, to znów pokorne powroty do praktyk religijnych — to wszystko wycisnęło bolesne piętno na jego twarzy i podkopało jego organizm. Mickiewicz nic już wówczas nie pisał. Przestał być poetą w codziennem (-(?)-) tego słowa znaczeniu; misje polityczne, które często wtedy podejmował, nie udawały mu się, plany życiowe spalały się na panewce, a próby organizowania polskich sił zbrojnych upadały (-(?)-) tragicznie, bądź z powodu złej woli rodaków, bądź z winy samego projektodawcy. Poeta rozgoryczony, przedwcześnie osiwiały, smutny i schorowany, począł zdawać sobie sprawę z tragicznego swego położenia: uświadomił sobie, że jego misja życiowa i poetycka skończyła się, a że on sam jest w tej chwili smutnym bankrutem ideowym (- (?!) -). Bolesne to i tragiczne uświadomienie“.

Nie będziemy z p. Br. o bankructwach ideowych rozmawiać, ale zapytujemy skąd tę charakterystykę zaczerpnął. Przytoczyć bowiem możemy inne świadectwo. Oto Karol Brzozowski, który Mickiewicza w tym czasie widział, tak o nim pisze:

„Piękna twarz arcymistrza, na której tak widocznie duch wycisnął pieczęć genjuszu, jaśniała czerstwością i zdrowiem. Oczy moje nie mogły oderwać się od tego olbrzyma poetów, którego ruch każdy miał w sobie coś z królewskiego majestatu, a tem wydatniejszego, że pełnego prostoty. Długo na chwałę naszą sztandar natchnionych pieśni będzie powiewał w tych dzielnych rękach — pomyślałem, patrząc na barki niepochylone, na czerstwe lica Adama, rozjaśnione spokojem ducha. Jakże daleki byłem przypuszczeń, że tę rękę, której przed chwilą czułem gorące uściśnienie, nie za kilka dziesiątków lat, ale za parę zaledwie dziesiątków miesięcy, będę oblany łzami całował, skostniałą, lodowatą, trzymającą krzyżyk drewniany“.

(Moje wspomnienie o Mickiewiczu, 1885).

Czemuż pan prokurator tego świadka nie uwzględnia? A potem czemu tak zajadle oskarża wszystkich w otoczeniu, jednego tylko Armanda Lévy'ego wygradza?! Do tekstu słów Śniadeckiej przy nazwisku Służalskiego czemu pan dopisał nawias: „a jednak i on winien, a nie Lévy?!“ Służalskiego podaje pan za łotrzyka, a o Lévy'm pisze pan:

„Sam Mickiewicz dobrał sobie na towarzysza podróży Armanda Lévy'ego, człowieka szlachetnego, godnego, lecz niepraktycznego“.

Czemu tak? Bo my znowu o Levy'm mamy trochę odmienne informacje. Oto w r. 1885 Edward Drumont pisał:

„W Wielką Sobotę 12 kwietnia 1884 r. Renan przyszedł na uroczystość odsłonięcia popiersia Mickiewicza w *Collège de France* w towarzystwie pownego żyda, nazwiskiem Armand Lévy, jednego z organizatorów Kongresu Antyklerykalnego. Przez obecność tej osobistości ceremonja została ośmieszona. Ów Armand Lévy nie posiada żadnych praw do literatury. Według „*Gaulois*“ jest to dawny aferzysta, który dzisiaj wypełnia sobie wolny czas uprawianiem polityki klubowej. Spotyka się go na wszystkich zgromadzeniach publicznych, jest socjalistą u socjalistów, a szynkarzem u szynkarzy. Najbardziej zdumiony musiał być biedny Mickiewicz, który w wielu okazjach, zwłaszcza w znanych powszechnie „Księgach Pielgrzymstwa“ piętnowali obrzydliwą duszę i nikczemnego ducha żydowskiego“.

(Edouard Drumont: „*La France juive*“ T. I. Str. 15. Paris. Flammarion).

Ów „szlachetny, godny, lecz niepraktyczny“ żydek żył jednak dość długo. Przeżył szczęśliwie tragedję stambulską, przyjął z powrotem judaizm i działo mu się dobrze, skoro w 30 lat potem jest taki ruchliwy. Mickiewiczowi podawał się za towiańczyka, a potem w Paryżu organizuje kongresy bezbożnickie.

On jednak, panie prokuratorze, musiał być praktyczny...

Z. W.

# NAUKA I LITERATURA

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród wydawnictw zakładu architektury polskiej i historji sztuki Politechniki Warszawskiej ukazała się niedawno książka dr. Michała Walickiego p. t. „Sprawa inwentaryzacji zabytków w dobie Królestwa Polskiego (1827-1862)“. Pod suchym i nieponętnym tytułem kryje się treść nietylko doniosła pod względem naukowym, ale naprawdę zajmująca i barwna.

Wiek XIX w całej Europie szeroko otwartemi, romantycznemi oczami patrzy na rozkwit t. zw. archeologji. Rozbudzone powszechnie zainteresowania, których ślady prowadzą daleko w głąb kultury nowożytnej, wywołują żywiołowy niejednokrotnie pietyzm dla wszelkich zabytków przeszłości. Ruch ów uzasadniony jest całkowicie atmosferą myślową, historyczną, literacką czasów. W Polsce rozwija się on oczywiście także; odmienne jedynie warunki polityczne nadały pracom tym swoisty charakter. Kwitnące wówczas zbieractwo najrozmaitszych przejawów materjalnej i duchowej kultury jest z jednej strony szkołą, w której kształcą się nieporadne jeszcze metody młodej polskiej nauki; jest nadto czynnikiem społecznym, podnoszącym samowiedzą narodową. Z całego splotu ważkich zagadnień, które narzucają się badaczowi tych dziedzin, wybrał dr. Walicki jedno: chciał „przedstawić całokształt ówczesnych usiłowań, zmierzających do podjęcia planowej inwentaryzacji zabytków“. Przytem mniej szło autorowi o wskazanie, że i na tej drodze szukano wówczas siły w bogatej i bujnej przeszłości; raczej radby ustalić szlaki, na których polska myśl konserwatorska zdobywała nowoczesne, dojrzałe oblicze.

Braki materjału historycznego zadecydowały o zwężeniu planu. M. Walicki ograniczył się do zbadania obszernej i w swoim rodzaju jedynej działalności Delegacji Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego, wysłanej pod przewodnictwem K. Stronczyńskiego, celem dokonania spisu krajowych starożytności. Praca owej delegacji rzucona jest na szerokie tło porównawcze myśli europejskiej; nadto zaś wywodzi ją autor interesująco z atmosfery rodzimej i kreśli przebiegi kulturalne polskie, które wpłynęły na charakter poszukiwań Stronczyńskiego. Fragment zatem całości jest doskonale umiejscowiony w czasie i środowisku. Czytelnik śledzi z rosnącem zaciekawieniem szczegóły owej pracy, która doprowadziła do jednej z najwcześniejszych w Europie publikacyj tego rodzaju, wyprzedziwszy daleko podobne próby obce. Terenem systematycznych poszukiwań zabytków na ziemiach polskich było wówczać jedynie Królestwo; dopiero w dobie następnej przenosi się ognisko ruchu do Małopolski.

Na kartach książki M. Walickiego sumienna analiza historyczna idzie w parze z gruntownem przygotowaniem fachowem: zmysł estetyczny i badawszy historyka sztuki kontroluje nieustannie materjał opisywany. Źródłową wartość pracy podnoszą obszerne aneksy, zawierające liczne i cenne archiwalja. Zaciekawia nadto bogata szata ilustracyjna książki: śliczne plansze reprodukują szereg zabytków, częściowo już nieistniejących, zbadanych przez współpracowników Stronczyńskiego.

Jeden jeszcze drobiazg, spostrzeżony w czasie lektury: autor wspomina parokrotnie Andrzeja Grabowskiego; chodzi oczywiście o Ambrożego, znanego miłośnika starożytności.
(T. M.)

*

Tradycję dawnej Warszawy przekazywała niegdyś — za czasów Wójcickiego, a i później jeszcze — żywa pamięć pokolenia. Dziś od ustnej opowieści, już dawno zanikłej, zwracać się należy do źródeł mniej zawodnych i trwalszych: do spisanych wątków warszawskiej historycznej przeszłości, a choćby tylko ,legendy. Nie zbraknie miastu naszemu na miłośnikach, badaczach, wspominkarzach. Wielu naliczyćby można — w różnych latach i współcześnie — Wiktorów Gomulickich, Or-otów, rapsodów piękna Starego Miasta, namiętnych zbieraczy typów ludzi, dat, zdarzeń z bujnego życia mazowieckiej, a potem polskiej stolicy.

Szereg pracowników i instytucyj podejmuje wśród nas trud skrzętnych zabiegów popularyzacji dziejów Warszawy. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Żoliborza ukazał się niedawno, z przedmową Br. Pawłowskiego, zarys historyczny pióra p. Tadeusza Jabłońskiego: „Żoliborz, piękny brzeg Warszawy". Pojawieniu się książeczki towarzyszą daty jubileuszowe: zbiega się właśnie z setną rocznicą zburzenia Żoliborza inna — nierównie weselsza: dziesięciolecie Żoliborza nowego, który rozwija się coraz piękniej na niedawnych pustkowiach.

Autor wyzyskał wszelką drukowaną literaturę przedmiotu. Jest ona zresztą dość nikła, zwłaszcza wobec długiej listy bibljograficznej, do której wątku dostarczyły pobliskie Bielany. Poszukiwania archiwalne pozwoliły p. Jabłońskiemu uzupełnić w pewnej mierze niedostatki publikacyj poprzednich. Jego zarys historyczny, kreślący dzieje terenów żoliborskich zanim powstał Żoliborz właściwy, sięga głęboko w czasy najdawniejsze, mazowieckie. Tutaj właśnie zakwitnie po latach śliczna dzielnica Warszawy XVIII wieku, pełne ogrodów i pałacyków, arystokratycze Fawory. Dobroczynne dla miasta rządy Stanisława Augusta zaznaczają się chlubnie i w historji Żoliborza. Owe lata stanowią punkt kulminacyjny rozwoju dzielnicy. Okres następny — to już okres cytadeli, martwoty i ruiny na szlakach bogatego niegdyś życia.

Autor książeczki okazał się dokładnym przewodnikiem wśród powikłanych kolei żoliborskiej przeszłości. Jeśli przerywa swe opowiadanie, to jedynie dla objaśnienia stylowej starej ryciny, zachowanego planu, współczesnego rysunku. Pracę wydano starannie, zabiegając o graficzne wyposażenie.

Książeczka jest prawie pionierska — co starczy na usprawiedliwienie braków w zebranym materjale oraz usterek przedstawienia. W bibljotekach warszawskich niejeden znajdzie się jeszcze plan topograficzny Żoliborza, zasługujący na uwagę. Niejeden także szczegół, godzien zanotowania.

Źródła do historji konwiktu Pijarów na Żoliborzu, rozproszone po całej Polsce, czekają jeszcze opracowania. Wogóle autor, który z dużym nakładem pracy przedstawił dzieje Żoliborza w ramach rozwoju terytorjalnego miasta, mniej zwrócił uwagi na przeszłość kulturalną „Pięknego Brzegu" i jego miejsce w ogólnem życiu stołecznem. Miejsce to chlubne i warte dokładnej oceny.

Nie żądajmy wszakże zbyt wiele. W publikacji p. Jabłońskiego znaleźć można informacje pewne, rzeczowe, zebrane umiejętnie, króre starczą dla zainteretowania historją Żoliborza dzisiejszych jego mieszkańców. (T. M.).

# FILM

ATLANTIC, CASINO: „Księżna Łowicka", reż. Krawicz i Warnecki, wytwórnia „Blok - Muza - Film".

Film kosztował sporo pracy, trudu i pieniędzy (podobno 300 tysięcy), a w rezultacie wyszła bujda i to b. nieprzyjemna. Dlaczego? — postaramy się wyjaśnić. Przedewszystkiem montaż. Zarzuty, jakie będziemy mu stawiali, nie dotyczą sposobu łączenia treści wizualnej dwuch obrazów pod względem estetycznym, chodzi mi o to, jak przez montaż został zobrazowany logiczny rozwój akcji, jej ciągłość i narastanie tempa do kulminacyjnego punktu kompozycji. Dobrze skonstruowane dzieło sztuki podobne jest do drzewa: widzimy mnóstwo liści, kwiaty, gałązki, ale tam jedno wyrasta z drugiego a wszystko ma wspólny trzon, pień drzewa, który korzeniami czerpie soki z gleby i wyrasta z niej, jak z idei dzieło. „Księżna Łowicka" najbardziej grzeszy pod tym względem, jest utworem chaotycznym, niema tu nawet tego, co poprostu nazywamy fabułą, intrygą, której zręczny bieg mógłby jako tako scalać poszczególne fragmenty. Sfotografowano szereg luźnych scenek, a reszty dokonał... klej. Drugim głównym grzechem filmu, a zarazem przewinieniem reżysera jest niewłaściwe naświetlenie ukazanych zdarzeń, sens, a raczej bezsens, nadany całości. Ta ckliwa melodeklamacja najgorszego gatunku, żerowanie na tanim burrapatrjotyźmie trudne były chwilami do zniesienia. Poco to ciągłe jęczando aktorów? Gromada wojskowych, pospołu z cywilami biegała bez pośpiechu, hałłakując przytem w niemożliwy sposób. Co chwila zjawiał się, lub wskakiwał na stół śpiewak Szczygieł (Gruszczyński), aby odstawić swój „kawałek". „Zaśpiewaj mi pan coś uczuciowego, bo muszę poderżnąć gardło Konstantemu", gdyby tak powiedział który ze spiskowców, byłoby to całkiem w stylu tego filmu. Rola Joanny Grudzińskiej (Smosarska) w życiu nie była zbyt wyraźna, a w filmie wyraźnie jest ni w pięć ni w dziewięć. W jednej ze scen Joanna rozpacza, bo ma wyjść za ks. Konstantego, a w następnej niemal jest już czułą małżonką, bez żadnego uzasadnienia tej zmiany. Jaracz, świetny w epizodach wielu poprzednich naszych filmów, zbagatelizował sobi. jakoś rolę Konstantego, robiąc zeń histeryczną małpę. Cesarzewicz był kanalją, ale bądźcobądź kanalją z charakterem: Nietrafnie obsadzono Węgrzyna: Łukasiński, uosobienie woli i hartu, uplastycznił te znamiona charakteru nielitościwem w analizie objektywu, zbliżeniem twarzy aktora, trochę już zmęczonego ilością przeżytych lat. W trudnych sytuacjach odwoływano się do Pana Boga i któryś z aktorów mówił: „Bóg tak chce", lub coś podobnego.

Udźwiękowienie, pod względem technicznym, fatalne, młode panienki mówiły takim głosem, jak stary grenadjer, ukryty w pustej beczce.

Na zakończenie wypada wymienić i nieliczne zalety. Świetnie grali: buldog Konstantego i statysta w roli kata. Jest kilka scen dobrych, wygranych zapomocą symboliki przedmiotów, lub ich analogji: np. gałązka bzu Łukasińskiego przykryta wielkim bukietem oświadczynowym ks. Konstantego, ta sama kiść zeschnięta i przejście do obrazu nabijania fajki liściem tytoniu, jazda aparatu od mordy buldoga do twarzy Konstantego i t. d. Ze scen zbiorowych dobrze wypadła rewja. Zdjęcia inż. Gniazdowskiego prześliczne.

PALACE, MAJESTIC: „Król to ja", reż. Karol Lamacz". Filmy czeskie cieszą się u nas dobrą i całkiem zasłużoną sławą. Jeżeli chodzi o komiczne, z Wlastą Burianem, warto zwrócić uwagę, jaki sobie czesi urobili typ komika. W Ameryce typem komicznym jest zwykle życiowy niedołęga, czasem poprostu idjota (Flip i Flap) i ta jego nieporadność staje się kopalnią dowcipnych, a raczej czasem tylko, śmiesznych sytuacyj. Stosują również amerykanie, dla wydobycia komizmu, mechanizację ruchów, robiąc z aktora marjonetkę.

U Czechów typem narodowego komika jest spryciarz. Cwaniak z Pragi, niejaki Leliczek, znakomicie się czuje w każdej sytuacji, zachowując zawsze pogodę ducha. Wynajęto go żeby imitował króla, będzie tak go robił, że niech się prawdziwy schowa! .

Film inteligentnie zrobiony i dowcipny reżyserji Karola Lamacza.

KANDYD.

# NOWE KSIĄŻKI

Czesław Lechicki. Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1932. Str. 323.

Witold Łaszczyński. Wysoki próg. Poezje. Warszawa 1932. Dom Książki Polskiej str. 229.

Falkowski Zygmunt. Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida. Wilno 1933. Str. 113.

Ciechanowiecka Ludwika. W sercu Sahary (Algier — Mzab — Tidikelt — Hoggar). Warsz. 1932. Księg. Szylinga. Str. 8 nl., 523 i XXlll.

Koskowski Bronisław prof. Udział farmacji Galenowej w rozwoju nauk przyrodniczych. Wykład na Uniwersytecie w Pradze 23. V. 1932. Warsz. 1332. Nakładem Fr. Heroda.

Sprawozdanie Dyr. Gimnazjum w Trzemesznie, 1929 — 1932 (Rozprawa dyr. J. Świerzowicza. Wizerunek psychol. Sarbiewskiego). Trzemeszno 1932.

Brzeska Wanda. Mitropa. Poezje z włóczęgi. Poznań 1932.

Stelmachowska Bożenna. Stosunek Kaszub do Polski. Toruń 1932. Wyd. Inst. Bałtyckiego. S. 34.

Przegląd Powszechny. Kraków, wrzesień.

Pastuszka Józef ks. dr. Kryzys kultury a religja. Szkice filozoficzno-religijne. Warsz. 1932. Gebethner i Wolff. S. 155.

Okniński Zygmunt. Stefan Duszan, car Serbów i Greków. Kraków 1932. S. 48.

# OFENSYWA

## L'AUTRE CRACOVIE

TAK, ten „Fenix" istotnie można uważać za symbol zikaconego Krakowa.

Teraz już się nie można dziwić, że wielu Krakowian, na stałe osiadłych w Warszawie, poprostu nie chce już słuchać i słyszeć nic o nowym Krakowie, do Zakopanego przejeżdża nocą i nawet na kilka godzin nie zatrzymuje się w rodzinnem gnieździe. Po śmierci Wyspiańskiego, mawiał jeden z aktorów, „należało Kraków poprostu zamknąć". Znowuż jeden z polityków z Małopolski Z., znany z dowcipu (choć tam dziś i sanator), mawiał dawniej stale, że Kraków dla dopolszczenia i odwżydzenia należało na dziesięć lat odstąpić Czechosłowacji, a potem odebrać z powrotem wraz z Cieszynem, odstępując pobratymcom *enclave* ze Stradomia, Kazimierza, Psiej Górki i terytorjum „Czasu" przy Planciech...

Żart na bok, ale prawda na stół i *suum cuique*. Pozytywnych pozycyj także dużo: odnowienie Wawelu, pobudowanie przedmieść i... zamieść, przepiękny Park Wolski, Dom Katolicki, bulwary nad Wisłą od strony Podgórza, port lotniczy, Akademja Górnicza, Szkoła przemysłu artystycznego, odnowienie kilku kościołów, „Bibljoteka Narodowa", „Przegląd Współczesny", rozrost kultury fizycznej i sportu, pogodzenie się z Wisłą, gdzieniegdzie łazienki i wanny po domach, pogodzenie się ludności z przyrodą i z okolicami, port autobusowy, wzmożone ochędóstwo w bieliźnie i ubraniu, znaczna poprawa w urodzie i szyku dziewcząteк, czerstwość, gibkość, rzeźkość i zdrowie fizyczne młodzieży męskiej przy definitywnym zaniku dawniej przeważającej większości: anemicznych, skrofulicznych, limfatycznych, rachitycznych, tabetycznych. To są plusy.

Minusów jest, prawdę mówiąc, stosunkowo mniej, ale te, co są, wystarczą: spotęgowanie do niemożliwości biedy, nędzy, bryndzy, dziadostwa, dziadoszostwa. Skutkiem czego osłabłe tętno życia, puls mizerny, senność, ospałość, apatja. Nocami jarzące jaskrawe latarki przy bramach oświetlają przeraźliwą pustkę ulic; jakby całe miasto zapadło w letarg. Bibljoteka Jagiellonów dosłownie zaczyna się rozpadać. Hotele i restauracje kompletnie wypompowane z ludzi. Zanik zupełny utęsknionego latami „*Fremdenverkehr*'u". Żadnego omal życia intelektualnego, literackiego, artystycznego. Żadnego promieniowania od Akademji Sztuk Pięknych. W Teatrze Słowackiego, przed którym stoi... Fredro, czterdzieści kompletów „Królowej Przedmieścia", która dawniej królowała na przedmieściach. Tam, gdzie grywano Norwida, siedzą teraz po lożach neuge - bauery i nuworisze, gdzie dawniej Kaplińscy, teraz Kapellnery i *viceversa*. W Grandzie Bethhamidrasz, u Michalika mykwa, w Muzeum Czartoryskich studjują mełamedzi, w „Muzeum Narodowem" drużyny Makabi oglądają Matejkę. W rękach cała ludność bez różnicy wyznania trzyma „I. K. C.", jedni aby się kształcić, drudzy w zastępstwie papieru „Sanitas" (dla oszczędnej hygieny). Warstwy wybredniejsze czytają „Tajnego Detektywa"; wojewoda, prezydent miasta, jedna księżna, jedna hrabina i kilku profesorów uniwersytetu (Heinrichl) dla *decorum* także i „Czas". W kawiarniach i cukierniach nadal żadnej gazety ani kurjera z Warszawy („z pod czapki Monomacha"), natomiast wszystkie *Blatty* wiedeńskie (żydowskie) i „*Morgenzeitung*". W kinach najulubieńsze arcytandetne filmy niemieckie. Święto kulturalne w mieście, gdy przyjeżdża... Moissi na gościnne występy... Cztery razy na rok każdy dziennik musi powtórzyć „nowe" szczegóły o „Tragedji w Meyerlingu"... Słowo „cwikier" jest jeszcze nadal w użyciu, słowo: „*zwieback*" już z użycia wyszło. Radjo lubią nastawiać na niemieckie stacje. Konfekcja damska najwyższej sorty (*made in Stradomy*) zalecana klienteli jako „*echt*" „wiedeńska"..

Do tego wszystkiego doszło w ostatnich czasach to pudło na Rynku. Różowawe pudło, szybiaste, w stylu Szukalskiego. Godne *pendant* do innych modernych barbarzyństw, charakterystyczne dla tej fazy upadku kulturalnego, w której popiersiom wielkich Polaków w „Parchu Jordana" (hermie Słowackiego) raz po raz „nieznani sprawcy" odbijają nosy, w której Mehoffer maluje najpotworniejsze knoty dla rzeźników, a potem broni ich walorów w I. K. C-u, w której pacykarzysta Wodzinowski uchodzi za „portrecistę" i „artystę" (o którym się wogóle mówi), poeci noszą nazwiska Stwora („od Stwosza do Stwory"!), a z kościoła Zakopiańskiego (przedmieście Krakowa) usuwają chyłkiem w nocy witraże Witkiewicza.

Kto ponosi odpowiedzialność za tę ultramoderną pakę na Rynku? Byłaby całkiem na miejscu na peryferji, przy arterjach niehistorycznych. Wtedy nawet moc komplementów. Bądź co bądź Szyszko - Bohusz majster „*me fecit*". Jakby pięknie wyglądała przy wylocie Karmelickiej naprzeciw „Krakowskiego Parchu"! Ale tu na Rynku przy A - B (której głupiastą nazwę tak surowo wyśmiał Conrad Korzeniowski)! Toż to już drugi taki dysonans, intruz, Saul między prorokami, motyw z *Kurfürstendamm*'u. Szyszko-Bohusz nie winien. Dawał pono pierwsze inne projekty, tradycjonalistyczne — archaistyczne, licujące, czyli jak Krakauery i Kapellnery mówią, „pasujące" do Rynku. Odrzucili mu. Nie imitować, nie fac-similować, nie archaizować, nie „sztuczna Norymberga" a może jeszcze Talowszczyzna? Chcecie nowe, no to macie nowe. I stanęła po ciężkim porodzie landara z kominami, filarki, okna „dwudziestometrowe", fasada jak na rogu Broadway i Pick - Pocket - Avenue, efektowna, kokieteryjna, imponująca, na cztery, pięć pięter, „nasz drapacz", mówią dumni nowi mieszkańcy z *l'autre Cracovie*. Jedne chwalą, drugie ganią... moja pani, moja pani. Olbrzymie „wzburzenie opinji"... w szklance wody (Franciszka Józefa). Pronaszce, chorążemu najnowszych „prondów", oczywiście okropnie się podoba; sędziwy Tomkowicz zaś już zasnąć nie może ze zgryzoty i przewala się po pościeli „Czasu", wyklinając nowe czasy i nowe stwory ludzkie. Wszystko dyskutuje o „Feniksie" i nad „Feniksami", a że tu wszystko ludzie oczytane w bród i w bibljotekach „*nachszlagebuchy*" są, więc raz po raz cytują Vasariego i... Vaubana, Le Corbusier'a i kalendarze Czecha lub zgoła... Kremera i... Kromera. Ci powołują się na stare fotografje Kriegera, tamci na obrazy Stachowicza często mieszając go ze Stachiewiczem. W każdym razie i szkandał wielki jest i senzacja moja pani, moja pani, zaczem po kawiarniach czarnej lurki konsumpcja o 30% podskoczyła. Nawet już o arcyksięciu Rudolfie (i tej Veczerze) zapomnieli rozpowiadać sobie świeże nowalje, tak się wszystko czteropiętrowym drapaczem „w stylu Skamandra" na Rynku zajęło. Wzburzenie opinji doszło do tego, że niektórzy ojcowie miasta i rodzin ojcowie dopiero po „szperze" wracają na domowe pielesze i aż o jedenastej spać się kładą rozgorączkowani. Za „Feniksem" jedna połowa ludności, przeciw „Feniksowi" druga... „większa połowa"; za „Feniksem" *l'autre Cracovie*, Krakauery, Kapellnery, oleandrusy, wielgusy, sanatorzy no i poprostu żydy; przeciw „Feniksowi" konserwatorzy, konserwatyści, konserwatówki, integralna inteligencja, ostatni Mohikanie, *morituri*, *emerituri*. Przeciw „Feniksowi": „Królowa Przedmieścia", za „Feniksem" „Król Przedmieścia" I. Kac i jego poddani *vulgus*, motłoch.

W każdym razie „Feniks" już stoi i nikt go z miejsca nie ruszy. W mieście, gdzie się tyle gada, paple i wygłupia o pielęgnowaniu i ratowaniu zabytków i relikwij, gdzie tylu wyuczonych ekspertów, speców i rzeczoznawców i tyle „komisyj", „memorjałów" i „protestów", raz po razu Burzymurki (*alias* Wandale) biorą górę i walą stare mury i stare domy, by z popiołów i gruzów wyłaniały się... „Feniksy", „móderne" Feniksy...

*L'autre Cracovie* zamierza wkrótce „obchodzić" uroczyście 25-lecie Wyspiańskiego, *l'autre Cracovie*, sfeniksowane, zikacowane, ale w murach i w okolicach zawsze czarowne miasto.

Czy to jednak będzie *recht* pasowało do Krakowa, po tym świeżym szkandalu z tym „Feniksem", moja pani, moja pani?

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

W „Wiadomościach" niesłusznie zwanych „literackiemi", jakiś pan Jerzy Paczkowski usiłuje zasłużyć się w oczach pp. Grycendlerów i Goldberżanek następującemi, „wolnomyślnemi" wierszykami:

„Są dwa poważne powody,
Dla których Polska mi zbrzydła,
Za dużo święconej wody,
Za mało zwykłego mydła".

Jakże to? Mydła zabrakło?! Ależ, skądże znowu! Weźmy choćby całą poezję „Skamandra". Mydło, samo mydło, i to w gorszym, nalewkowskim gatunku...

*

Po wiosennym przewrocie Zachęta znalazła się na bezdrożach, o czem między innemi zaświadczyła wystawa sztuki religijnej, urządzona źle, ale za to z udzieleniem nagród malarzom i rzeźbiarzom żydowskim. Otrzymali nagrody: p. Wacław (!) Husarski — żyd, p. Henryk (?) Kuna — żyd, pani Janina (?) Konarska — żydówka nazwiskiem Seideman. Ta ostatnia posiada już nazwisko zmienione o brzmieniu „Konerska" przez „e", ale stale się myli i podpisuje się przez „a" — Konarska... Naczelnik Zachęty, po zwycięstwie odniesionem w imię polskości tej instytucji, tak ją teraz zażydził, że i sztukę religijną żydami zabrzydził i sam siebie pod żółtym znakiem zapytania postawił — pod znakiem Franka.

**TREŚĆ:** 

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM